

Egz. archiwalny IBL

JAN ZYZNIEWSKI



DLA POLSKI
POD JEFFREM

<http://rcin.org.pl>

1110 1000000

JAN ŻYZNOWSKI.

DLA POLSKI POD JOFFREM

I Rt. Etr. Bat. C. II Compagnie.

WSPOMNIENIA LEGIONISTY.



#2570 #
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-88-83

Nakładem B-ci Bojarskich.
Warszawa-Piotrógód, Wierejskaja 27.
1916 r.

<http://rcin.org.pl>



13.839

Drukarnia artystyczna „Sztandar“, Piotrogród, Kaznaczejska, 4.

<http://rcin.org.pl>





Le diamant dur je suis
Qui ne se romp du marteau
Ni du sizeau retante
Frape, frape, frape moi
Pour cela ne mourray.
Comme le Fenix je suis,
Qui de sa mort reprant vie.
Qui de sa cendre nalstra
Tue, tue, tue moi
Pour cela ne mourray.

Romain Rolland
Jean-Christophe.

Na świętą pamięć tych, którzy konając rzu-
cali, jak wyzwanie: „Polska żyje!”.

Tych, którzy wierzyli, że każda kropla ich
krwi—to nowe silniejsze życie Jej—Nieśmier-
telnej spisałem dnie drogi ich, aż do stóp ofiar-
nika. Zginęli z wiarą, że Ona jest jako Fenix
odradzający się przez śmierć.

Bij, bij, bij nas! Zabij nas—od tego my
nie umrzemy! powtarzały bijące raz ostatni ser-
ca polskie we Francji.

Ścichły dla życia Polski.



Dnia 21 sierpnia 1914 roku na placu inwalidów w Paryżu od godziny 8-ej rano dwustu ośmdziesięciu Polaków czekało na swoją kolej—przejścia przez oględziny lekarskie i podpisania „engagement” (zobowiązania) wolontaryusza.

O godzinie 3-ej popoł. wpuszczono nas do ponurej sali, skąd grupami, rozebrani już, przechodziliśmy przed całym szeregiem lekarzy.

Na pytanie ich o stanie zdrowia odpowiadaliśmy że świetne.

Możliwy powód do odrzucenia kryto, starając się przekonać wątpiącego lekarza, bądź słowami, bądź obietnicą, w której czuć było nieklamany zapach.

Z dwustu ośmdziesięciu odrzucono zaledwie dziewięciu.

Przyjęci przechodzili do drugiej sali, gdzie podpisaliśmy nasze zobowiązania dla Francji—poczem byliśmy już prawnie żołnierzami Republiki.

Wyłacono nam żołd.

Na podwórku pałacu ogłoszono, że jutro już o 11-ej rano wyjeżdżamy z towarowej stacji Ivry do Bayonny.

Czwórkami, z naprędce zrobionym sztandarem, z „Je-szcze Polska nie zginęła” na ustach przeszliśmy przez miasto.

Było w nas coś z beztroskiego dziecka, cieszącego się życiem, kochającego wszystkich i wszystko.

Dzień 22 sierpnia. Upalna niedziela sierpniowa.

Przed towarową stacją Ivry, na lewym wybrzeżu Sekwany tłumy.

Nad głowami powiewają sztandary—znaki oddzielnych grup ludzi.

Każda grupa to inna narodowość, skupiona pod swym znakiem ojczystym we Francji—dla niej.

Od czasu do czasu słyhać okrzyk: „Vive la France“ („Niech żyje Francja“), a w odpowiedzi szczerze: „Vive les Volontaires“ („Niech żyją wolontaryusze“).

Znagli, gdyby przypomnieniem zbudzony: zajaśniał w słońcu Orzeł Biały—obiegł dokoła jakby licząc lub błogosławiąc—zadrżał niepewnie i skrył się w amarantowym tle sztandaru.

„Vive la Pologne“ (Niech żyje Polska)—życzone, „Et vive la France“ („I niech żyje Francja“) odpowiadano z pod Białego znaku.

Godz. 11-ta rano.

Jedziemy—słyhać oddzielne głosy.

Słowa pożegnania, otuchy, prośby o pamięć, łzy, pocałunki, polecenia.

A na uboczu poprzez łzy:

— „Sama... Tak smutno, obco tutaj... Tadzio we Lwowie... W Warszawie... Będziesz pisał?“

— Tak, krótkie, od myśli dalekie przyrzeczenie.

— Boję się—mogłbyś mieć urazę potem całe życie...

— Ciiicho Hal..., no już, no ciiil...

— Serce za myślą biegnie, błąka się i wraca bardziej niespokojne.

— Wróćsz?—niepewne, lękliwe, a po chwili z bezbrzeżną, nie chcącą myśli dopuścić prośbą: „Wróć!“

Błyszczące od łez oczy czekają bezgłośnie, jakiejś nieludzkiej obietnicy.

— Będę się modliła...

— „Il faut tuer beaucoup de Boches“. (Trzeba natłuc wiele pludrów*)—zapiszczał głos młodej kobiety.

— Jedź—pójdę już...

— Chwilę jeszcze, nie jedziemy.

— Nie — pójdę na most—będę cię wdziała odjeżdżającego*.

Ujęła jego rękę, przywarła ustami—na rękę spłynęły duże czyste łzy.

— „Hal...—ludzie patrzą“.

— „Jedź!“—rzuciła i szybko zginęła w tłumie.

Przez otwartą bramę widać było długie podwórze, w głębi szereg towarowych wagonów.

— „En avant! Partons!“ („Naprzód! Jedziemy!“—ktoś krzyknął.

— Polacy razem!—wołano.

Ostatnie słowa pożegnania, okrzyki.

— Depechez-vous („Śpieszcie się“)—naglono.

Ośm wagonów przeznaczono dla Polaków.

Znajomi po kilku zajmowali miejsca.

Przeciągły świst wdarł się w zaczętą chórem pieśń Czechów.

Ze stukiem, jęcząc, powlokły się wagony naprzód.

Przejeżdżaliśmy pod mostem—wychyliłem się.

Spokojna, gdyby skamieniała, oparta o poręcz mostu, stała młoda kobieta.

Pociąg włókł się niemiłosiernie stawał na najmniejszym przystanku.

Jechano na dachach i stopniach wagonów, rzucono kapelusze, jako już niepotrzebne, powiewano chustkami, machano rękoma aż do zupełnego zmęczenia, krzyczano aż do

ochrypnięcia; „Vive la France“ w odpowiedzi na „Vive les Volontaires“.

Po 38 godzinach podróży późnym wieczorem przyjechaliśmy do Bayonny.

Na dworcu ustawiliśmy się czwórkami obok Czechów, z którymi już do końca dzieliliśmy dobrą i złą dolę.

Kilku oficerów przywitało nas, poczem poprowadzono nas przez miasto wśród oklasków i życzliwych okrzyków.

Wkrótce weszliśmy w ciemną aleję. Gdzieś u skrzyżowania zatrzymano nas—podzielono na dwie grupy po 500. Zostaliśmy z Czechami.

Szliśmy jeszcze prawie godzinę lasem, ledwie wlokąc nieprzyzwyczajone do marszu nogi.

Wreszcie wprowadzono nas do zagrody Towarzystwa Strzelniczego w Montbrun, między Biaritz, a Bayonną. Wskazano nam długi drewniany barak—miejsce naszego noclegu. Dano każdemu snopek świeżej słomy. W pół godziny później w długim drewnianym baraku było już zupełnie cicho. Szum fal jeno szeptał, otaczającej nas ciemni leśnej, dziwne legendy.

Podróżą i rojeniami zmęczone głowy śniły jakieś sny dziecka o garstce samotnych bohaterów.

O ósmej rano ożywiła się zagroda w Montbrun. Na zmianę przy pompie męczono się, chcąc pokazać swą siłę—tem samem i zdolności żołnierskie.

To też aż jęczała pompa, a woda szerokim strumieniem spływała na obnażonych wolontaryuszów. Myto się, golono, przyprowadzano zmiętą garderobę do porządku trzymano się jednak grupami dawnych znajomych.

Wygląd zewnętrzny jeszcze był tu wszystką miarą.

Wśród moich znajomych, z którymi nie rozłączaliśmy się, znajdował się Ks. Dunikowski i St. Szteinkeller. Pierwszy, bez kapelusza, z jasnymi długimi włosami, był przedmiotem gapiostwa i wesołych uwag wszystkich. Drugi

przyjechał „na wojnę“, jak mówił, to też prócz ubrania, szczeretki do zębów i... pudełka pudru nic nie miał, jak również żadnego przykrycia na głowę.

O godzinie 9-ej rano zapowiedziano nam, że o 11-ej będzie śniadanie.

Niecierpliwie czekano 11-ej godziny.

Wszystko z życia żołnierskiego było dla nas czemś niesłychanie ciekawem.

O godz. 10-ej i pół czwórkami, z talerzami i łyżkami wyszliśmy z zagrody.

Po dwudziestu minutach marszu, ma się rozumieć ze śpiewem, weszliśmy na wilgotną łąkę, gdzie po półgodzinem czekaniu przyniesiono naczynia z „soupe“—dlaczego „soupe“, dotychczas nie wiem, — poprostu był to wrzątek, w którym konały, cierpiąc przestraszone męki, różne z łąk i innych trzęsawisk owady. „La soupe“ została wyłana na łąkę, co podwoiło zwykłą tam wilgoć.

Drugie pół godziny czekano na mięso—w końcu i to przyniesiono. Mięso było gotowanem mięsem bez żadnego smaku, mówiono, że smak wywietrzał. Możliwe, tembardziej podczas wojny.

Po „śniadaniu“ poszedłem ze znajomymi do Bayonny.

Po stroju, ponieważ ubrania nasze ze zwykłych stały się czemś, chwilowo przykrywającym ciała nasze, poznawano w nas wolontarjuszów.

Kapelusze z obciętemi rondami, spodnie związane u dołu nadawały nam jakiś wygląd dziwny i dziwaczny.

W Bayonnie przyjmowano nas serdecznie—„Pour nos petits volontaires“. Wszystko było otworem wszystko za półceny.

Czegobyśmy nie zrobili wówczas dla Francji, dla tych wszystkich, którzy nas szczerą witali serdecznością?

Cały dzień spędziliśmy w Bayonnie.

Późnym wieczorem wracaliśmy do naszych tymczasowo-

wych koszar. Zdała już dochodziły nas wesołe śpiewy kolegów.

Naprzeciwko, po drugiej stronie szerokiej drogi, w małym domku mieściła się kawiarnia, tam spędzaliśmy długie wolne wieczory.

Córką właścicielki owej kawiarni była młoda przystojna panna Wiktorya, przezwana przez nas Wiktorynką. „Naszą Wiktoryę“ lubili wszyscy, śpiewali jej, mówili o Polsce, pili za jej zdrowie. Ona cieszyła się z nami, później prosząc często byśmy jej małej wiktoryi nie zapomnieli w godzinę prawdziwej przyszłej wiktoryi naszej, w którą wierzyła święcie.

W małej tej kawiarence przeżywaliśmy wspólnie wszystkie wrażenia dnia: robiono przypuszczenia, omawiano nowiny, zasłyszane gdzieś w przelocie, nowiny o naszym losie. Tam też zanudzaliśmy pytaniami naszą władzę w osobach dwóch kaprali i sierżantów, którzy z niezwykłą cierpliwością odpowiadali na nasze pytania „wojenne“, śpiewali na nasze prośby do ostatecznej gardłowej niemocy.

Późno w noc wróciliśmy do naszego baraku.

Przez wyobraźnię naszą, w której zupełnie nie zostawialiśmy miejsca na długie ćwiczenia, czekaliśmy mimowoli na jakąś pobudkę, która nas zupełnie nieprzygotowanych, nawet jeszcze nieprzebranych, wezwie do walki.

Oczekiwanie to wyrobiło w nas pewną wojowniczość, wobec nieznanomych kolegów z braku rzeczywistego wroga.

Często też porywano się do bicia, które ustawało pod wpływem myśli, lub budzącego słowa.

Dla zadosyć uczynienia nerwom i zmagła nagromadzonej energii urządzano wszelkiego rodzaju zapasy.

Pierwszego też dnia na słomie mocowano się, goniono, dokazywano, jak kiedyś w szkole podczas dużej przemiany.

Dopiero po silnem zmęczeniu ułożono się do snu.

Nazajutrz już o godz. 6-ej zbudzono nas. Ustawiono podług wzrostu, podzielono na sekcyę, poczem wyprowadzono nas na ćwiczenia. W drodze wszyscy bez wyjątku krzyczeli „gauche“ (lewą), by iść zgodnie w nogę.

Staraliśmy się wszyscy bardzo, jeden drugiego chciał prześcignąć w umiejętności wykonania pokazanego nam pół-obrotu lub obrotu.

Podczas ćwiczeń zdziwieni usłyszeliśmy polskie objaśnienia do komendy francuskiej. Tym objaśniającym był L. Malcz, który kilkanaście miesięcy przebył w Legii cudzoziemskiej. Jemu też, jako byłemu żołnierzowi francuskiemu, wkrótce dano niewielki oddział wołontaryuszów do nauki.

Znajomością rzeczy wojskowych dla nas, pełnych wyobrażanych trudności, Malcz jako ex-żołnierz, stanął odrazu w oczach naszych na wysokości imponującej. Z powagą, pełną szacunku, pytano go o wszystko, tyżące armii, t. j. nawet o to, o czem on miał również słabe, jak my, pojęcie.

Ćwiczenia nasze ranne i popołudniowe odbywały się po domowemu, bez żadnej dyscypliny, co prawda nie była ona potrzebna, gdyż starano się bardzo.

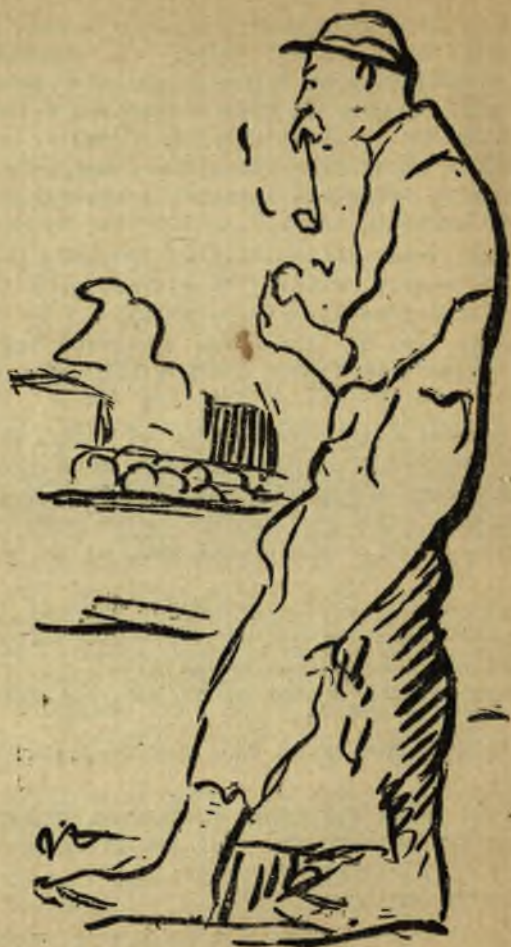
Pewnego wieczoru zapytano nas, kto może być kucharzem.

— Będziemy mieli swoich warzy soup'ów—powtarzano z radością.

Wybrano sześciu, którzy albo w przeszłości, mieli coś wspólnego z gotowaniem, albo takich, których twarz nie będzie się gryzła z kotłem, jak mówiono.

Wybrany krzyczano:

— Zróbcie zupę po polsku. Tak, polską zupę i mięso. Pierwszy obiad, do którego wszyscy skrobali kartofle,



nosili drzewo, naprawdę przypominał polskie, nieudane potrawy. Część kartofli była rozgotowana, ta bliżej dna, reszta prawie surowa.

Mięso „po polsku“, a la sztuka mięsa, było z piaskiem.

No, ale lepszy był nasz nieudaany, jak obiady z wilgotnej łąki.

Pierwsza niedziela od przyjazdu naszego do Montbrun minęła bardzo szybko i wesoło nad brzegiem morza w Biarritz. Skutki jednak były mniej przyjemne, ponieważ wygrzewano się na słońcu za długo, stąd też kilku rozchorowało się z nadużycia słonecznej kąpeli. Dwóch ledwie odebrano chciwej, zagarniającej fali morskiej.

Wieczorem do naszej przemiłej ustronnej zagrody przyszedł panie-Polki.

Radość była wielka. Śpiewano chórem – pokazywano ruchy wojskowe, w wilię zaledwie nauczone.

Resztę niedzieli spędzono u Wiktorynki, oblegając formalnie maleńki domek.

W poniedziałek rano wysłano nas po karabiny do Bajonny. Z magazynów w Bajonnie z dumą, choć nieumiejętnie, nieśliśmy stare, jeszcze z armii Napoleońskiej karabiny, przeznaczone dla ćwiczeń naszych. Najmniejszą skazę, lub wyszczerbienie bagnetu, tłumaczyliśmy udziałem jego w walkach dawnych.

Nieprzyzwyczajeni, byliśmy porządnie zmęczeni, dochodząc do Montbrun. Karabin okazał się czemś ciężkiem i bardzo niewygodnym do noszenia.

Dnie nasze w Montbrun były chwilą beztroskiego oczekiwania dalszych wypadków.

Dobry stary las, otaczający nasze ustronie, niósł echo pieśni naszych, aż gdzieś w morze. A nocą, gdy już ścisły drzewa, fale morskie zda się, powtarzały, może tam kiedyś już słyszane, „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Wiedzieliśmy, że w Montbrun zostać nie możemy do końca naszych przygotowań, przypuszczenie to jednak, jako niemiłe, odrzucaliśmy precz poza myśl. Tak było nam dobrze w Montbrun, tak pięknie stawało się w nas, jak piękną jest rozśpiewana dalekiem zapatrzeniem dusza ofiary na stopniach ołtarnych. Byliśmy sami—nie zgrzytnęło nic obcego w naszym ustroniu. Powoli jakiś krąg niewidoczny obejmował nas wszystkich, zacieśniał się—tworzył zwolna coś tak bardzo jednego.

Między nami, a władzą naszą najbliższą w Montbrun, był Malcz.

Po dwutygodniowym pobycie w Montbrun Malcz powtórzył nam rozkaz przygotowania na jutro rzeczy. Wieczorem żegnano Wiktorynkę.

Nazajutrz z żalem opuszczaliśmy Montbrun, dźwigając przywiezione rzeczy i ciężkie karabiny. Szliśmy wesoło na nową kwaterę.

Odtąd tryb życia naszego uległ poważnej zmianie.

W Bayonnie umieszczono nas w na poły wymurowanym budynku, przeznaczonym na szkołę.

Wszystkie wolne, możliwe miejsca były już zajęte.

Z dobytkiem swoim czekaliśmy kilka godzin na miejsca wewnątrz gruzami jeszcze zawalonego budynku.

Pod wieczór wreszcie podzielono nas i wtłoczono między czarne, kędzierzawe indywidua, „także russkije“, jak mówili.

Zaraz też pierwszego, dnia, pierwszej nocy poczęliśmy ich uczyć szacunku dla nas.

— Wagabondy, nie towarzyszczi!—krzyczał jeden z towarzyszów.

— My tu wszyscy „dla odnoj cieli“,—chcieli nas przekonać drudzy.

— Nieużeli?—spytał jeden z nas, komicznie naśladowując tego z „celem“.

Ledwo nie doszło do gromadnej bijatyki z powodu Malcza, którego jeden z „towariszczów“ obraził.

— Eto nie Warszawa, zdieś wsie sołdaty, tu nima litwak, panie polak, tu równy...

Nie dokończył „sołdat nie litwak“ — musiał się obejrzieć w stronę, skąd mu przypomniano, że tu jednak nie wszyscy „towariszczi“ i że to z Warszawy jeszcze żyje między nami.

Skończyło się na tem, że nasi czarni „towariszczi“, o nosach kształtu giętych mebli, poszli na skargę do jednego z oficerów.

Oficer dosyć surowo zapowiedział nam, że różnic żadnych narodowościowych władza robić nie będzie, że wszyscy są tu po to, by się bić dla Francyi i za nią.

Byliśmy słowami jego niemile zdziwieni i postanowiliśmy sami bez władzy, strzedz swych interesów i wyrabiać sobie opinię.

Noc dla naszych „towariszczów“ była dość ciężką: mniej odważni prawie nie spali z obawy o całość ich nie nadto czystą.

Nazajutrz wyprowadzono nas na pole ćwiczeń.

Z radością zauważyliśmy, że umiejętnością i zręcznością górujemy nad innymi wolontaryuszami, których prócz nas było z górą sześciuset.

Po przyjeździe z ćwiczeń o godz 10-ej rano rozdawano listy.

O godz. 11-ej śniadanie, podobne do pierwszych z wilgotnej łąki.

O godzinie 1-ej zaczęliśmy ćwiczenia nasze poobiednie, które trwały do godz. 4-ej.

Wygląd ubrań naszych był już taki, że postanowiono nas przebrać.

Na drugi dzień wracaliśmy ze znanych już sobie magazynów, dźwigając nasze barwne ubranie.

Pośpieszne przymierzanie różnych części ubrania, brak



odpowiednich miarą—uczynił z nas, wystawionych w długi szereg dla przeglądu, coś niebywale komicznego.

Sterczące czerwone czapki, krótkie, pasa sięgające kurtki spodnie za długie i za szerokie i olbrzymie buty z dzięsiątkami wielkich gwoździ nadawały nam wygląd tak pocieszny, że z dobrym skutkiem moglibyśmy być ustawieni w kapuście lub burakach.

Gdyby nas zobaczył szkodnik zajęć—uśmiełby się i uciekł.

Otrzymane ubrania poczęło przerabiać, zwężać, skracać.

Żołnierze z Legii Cudzoziemskiej, a nasi instruktorzy udzielali nam wskazówek, dotyczących szyku prawdziwego legionisty—a więc: spodnie szerokie, stopniowo zwężające się ku dołowi, czapka zgnieciona—daszek złamany nasunięty na oczy.

Każdy chciał wyglądać, jak stary legionista z Afryki,



ponieważ Legia Cudzoziemska słynie, jako najlepsze wojsko na świecie.

Wygląd i nazwa nam imponowały.

Słów parę o Legii Cudzoziemskiej i legionistach.

Kim są jednostki, wstępujące do Legii afrykańskiej? Indywidua przeróżnych narodowości, karane za przestępstwa kryminalne, żyjące pod groźbą kary, lub uciekinierzy z więzień—dezertery, awanturnicy, szulerzy, albo wreszcie młodzi, żądni przygód i wrażeń chłopcy od lat 17.

Podpisane zobowiązanie wstąpienia do Legii niszczy wszelkie ciężące wyroki, pozostawia bez kary—jeśli pobyt w Legii nie jest sam przez się karą.

Zobowiązania są pięcioletnie. Nauczanie trwa dwa lata, czas najcięższy dla nowicyusza. Upalny klimat, marsze, bezbarwność życia, surowa dyscyplina są próbnym ogniem, przez który przejść musi każdy nowowstępujący.

Po ciężkim przygotowawczym okresie pobyt w Legii jest już mniej przykry i więcej samodzielny. Oddziałami wysyłają legionistów do małych osad, jako załogę, bądź w celu obrony od napadów marokańczyków—bądź w celu pracy.

Rząd wyzyskuje umiejętnie różnorodne zdolności i fuchy legionistów. Miasteczko Saida zostało wybudowane i urządzone przez Legię bez obcych rąk.

Ale nawet w okresie swobody i pracy bardziej samodzielnej, życie legionisty pozostaje jednak bezbarwne, bezwrażliwe.

Legionista staje się specjalnym typem człowieka.

Wolne chwile spędza przy litrach wina—na które zarabia to praniem bielizny kolegów zamożniejszych, to grą w karty, wreszcie kradzieżą. Pojęcie cudzej własności u prawdziwego legionisty nie istnieje. Nigdy nie pyta się, gdzie co jest—nie mówi—nie mam. „On se d... e” mówi legionista i ma wszystko.

Na niewygody nie skarży się—zawsze umie sobie poradzić. Brak obcowania z kobietami wyrobił w legioniście pogardę dla płci pięknej. Łaskawy uśmiech kobiety podług legionisty nie wart rozlanych na podłodze kilku kropel wina.

Wino jest dla niego całą radością.

Nic więc dziwnego, że okoliczności, w jakich żyje żołnierz z Legii, zmyliły kierunek jego życia i narzuciły obce z musu za naturalne przyjęte rzeczy.

Rzadko który potrafi wytrwać pięć lat bez wyraźnego zboczenia (w większej części) płciowego.

Charakterystycznym także jest kult legionisty dla własnego ciała.

Mimo warunki zachowuje on niebywałą, przesadną wprost czystość, staranność ubrania — z pewną kokieterią.

Okres pierwszy—ćwiczeń, grzebie całą przeszłość życiową nawet w pamięci legionisty—między którymi znaleźć można ludzi o różnym poziomie umysłowym i stanowisku społecznym. Od rosyjskiego księcia, francuskiego markiza, poety, aż do rzezimieszka, kieszonkowego złodzieja, spotyka się wszystkie klasy i stopnie socyalne.

Wartość mierzy się tam latami służby.

Po pięciu latach pobytu w Legii legionista staje się wolnym obywatelem Francji.

Wolność droga dla wszystkich, dla ex-żołnierza Legii Cudzoziemskiej jest tylko kłopotliwą.

Wszystko wkoło obce, inne od życia wczorajszego. Pięć lat—długie pięć lat—dalekie od wiru ogólnego, od środkowego motoru życiowego—w Afryce. Jeden dzień swobody—rozejrzenie się, niezrozumienie wskutek terażniejszego życia swojego otoczenia.

Machnięcie ręki—litr wina i powrót do Legii na drugie pięć lat.

Następne pięć lat—to życie beztroskie w Tonkinie do-

kąd wysyłają legionistów po odbyciu pierwszego pięcioletniego zobowiązania. W Tonkinie legionista bierze udział w życiu ogólnem, chodzi do miejscowych teatrów, herbarciarni. Pozatem pije, jak dawniej wino, uczy się palić opium. W Tonkinie zaczyna nawet patrzeć inaczej na kobiety — o annamitkach opowiada jako o jedynych kobietach, godnych legionisty. Bezwzględne jej posłuszeństwo mężczyźnie wychwała pod niebiosa.

Często też żeni się tam — po kilku latach jednak wraca do Afryki i zapomina o swej małej żonie. Znana i tłómaczona na wszystkie języki piosnka „Tonkinoise“ (Mugdeneczka) napisana została przez ex-legionistę.

Podczas drugiego pięciolecia żołnierz zwyczajny dostaje jakiś stopień wojskowy kaprała, lub nawet sierżanta. Kaprał od razu podnosi głowę do góry i pozostaje tylko w towarzystwie legionistów, mających conajmniej 10 lat służby.

Z biegiem czasu żołnierz Legii staje się najlepszym żołnierzem, mimo ciągle pijaństwo, które nie przeszkadza mu jednak do wypełniania wszystkich rozkazów z największą dokładnością. Tryb życia, częste bardzo niebezpieczne starcia z marokańczykami wyrobiły w nich pewne męstwo, pogardę śmierci i zimną rezygnację.

Nic więc dziwnego, że wpływ długiego pobytu w Legii na awanturnicze już w przeszłości charaktery indywidualów wytworzył typ żołnierza i nic prócz żołnierza. Stąd wartość wojska Legii cudzoziemskiej dla Francji jest niesłychanie duża.

Największy zapal nowoupieczonego żołnierza nie dorówna wartości żołnierza z Legii jako takiego.

Wszystkie zalety wojenne posiada w sobie legionista.

Spyt, podstęp, umiejętne wyzyskanie momentu, terenu, celność strzału, wytrzymałość i odwagę. Legionista bije wszystkie rekordy marszów wojskowych.

Dźwiga pod upalnym słońcem południa, nie szemrzając swój ciężki tornister.

W wykonaniu komendy nie omyli się nigdy.

Czyż może być lepszy żołnierz—Rzeczpospolita wie o tem bardzo dobrze i płaci żołnierzom tych dosyć hojnie. Sierżant, kapral nawet, po 10 latach służby otrzymuje żołd, sięgający 200 fr. miesięcznie.

Widziałem legionistę dźwigającego 21 lat służby.

Ci wszyscy, którzy odsłużyli trzy pięcioletnie okresy, mają zapewnione utrzymanie we Francji i prawo do zupełnego obywatelstwa Rzeczypospolitej. Wojna obecna—to atrakcja obiecująca legionistom pobyt w Europie. Tłumnie też angażowali się ex-legioniści do armii francuskiej zaraz po wybuchu wojny.

Takich instruktorów przysłano nam do Bayonny. Jako człowiek, legionista raził nas—jako żołnierz imponował nam. Opowiadane przez instruktorów przygody ich życia otwierały nam szeroko oczy—często nie rozumieliśmy, jak podobne fakty mogły znaleźć sobie kąt w charakterze człowieka. Kadry nasze nie były zupełne—wszyscy podoficerowie niżsi byli z Legii, między nimi jeden Niemiec nazwiskiem Franken. Franken 13 lat temu uciekł z armii niemieckiej—błąkał się kilka tygodni po świecie, poczem wstąpił do Legii, gdzie czuł się, jak w domu.

Sierżant Guitare, Francuz, napozór surowy, krzyczący, był człowiekiem łagodnym, w głębi—dobrym nawet.

Kilkanaście lat temu przegrał w karty powierzone mu pieniądze.—Odsiadywać karę w więzieniu?—Kiedy istnieje Legia—więc do Legii.

Kapral Caramel, rabuś i złodziej kieszonkowy, opowiadający wesołe okradzenie w Paryżu jakiegoś burżuja.

— Kiedy przyszli mnie aresztować,—mówił—udawałem zdziwienie, tłumaczyłem, że to pomyłka—kiedy jednak nie

pozwolili się przekonać i chcieli mnie odprowadzić do więzienia—wyjąłem kartę mego zobowiązania do Legii.

Komisarz ze świętą wrócił do cyrkułu bezemnie—a ja... ja coppersa na drugi dzień pojechałem do Saïdy.

No i jeszcze jeden—kapral Lolichon—całkiem już niewyraźne indywiduum wieczne pijane, a w rzadkich chwilach trzeźwości też nieprzytomne. Z tą „starszyzną“ naszą często też dochodziło u nas do najrozmaitszych sprzeczek.

Ich przyjacielskie „toi“ nas obrażało—czego oni pojąć nie mogli. Taki kilkutygodniowy „bleu“ powinien być, ich zdaniem, kontent, że raczy z nim rozmawiać stary legjonista.

Jedynym oficerem naszej kompanji był porucznik Doumic, architekt, brat znanego pisarza i uczonego Rene Doumic.

Do niego zwracaliśmy się z ciągłemi skargami na niestosowne obchodzenie się z nami niższej władzy naszej. Porucznik, widząc w nas tyle dobrej woli, przy pewnej kapryśności i ambicyi, zakazał traktowania nas, jak ochotników Legii cudzoziemskiej.

Adjutantem kompanji naszej był redaktor jednego z tygodników sportowych paryskich, niejaki Marca-Suza.

Mały, tęgi, bardzo energiczny był głównym dowódcą naszym.

Niesłuchanie wymagający, zamęczał nas ciąglem powtarzaniem pewnych, cokolwiek źle wykonanych zwrotów.

Nawet w drodze do koszar po 4 godzinach ćwiczeń—nagłym: „Compagnie—halte“! zatrzymywał nas—kazał prezentować broń, na ramię ją brać, do nogi.

Jeśli wykonaliliśmy kazałą komendę bez omyłki—wracaliśmy do koszar—najmniejsza omyłka jednego była przyczyną szeregu powtarzanych ruchów.

Kapralem także został Malcz, który, mimo pewną surowość i czysto polską obowiązkowość, służalczość nawet,

zyskał ogólną sympatyę kolegów. Jeszcze jednym z instruktorów naszych był stary kapral Haricot. Postać komiczna, ciężka, drżąca przed władzą, pozatem typ chłopca francuskiego dobrego, trochę podejrzliwego. Przy daniu pierwszej lepszej komendy głos Haricot'a łamał się, czasem zerwał się z nagłą i przechodził w jakiś chryp, lub pianie.

Do wydobycia z siebie silniejszego dźwięku stary kapral uprzednio pomagał sobie drobnymi i niebywale śmiesznymi ruchami rąk.

Wszyscy wspomniani pod-oficerowie z porucznikiem D. na czele, przygotowywali nas do wyjazdu na front.

Pozatem w biurze kompanii mieliśmy dwóch Polaków: Jodkę i Rotwanda.

Pierwszy ex-legionista otrzymał odrazu stopień sierżanta i ze względu na pracę biurową, mało miał styczności bezpośredniej z nami. Jodko, czy za wygłaszane różne od naszych poglądy, czy za powierzchowność swoją dziwną i zachowanie się niemiłe—nie cieszył się sympatyą.

Rotwand—uczeń Szkoły Beaux Arts, w Paryżu, był typem młodego chłopca o dużej wrażliwości i wyobraźni stale podnieconej. Ten otrzymał stopień kaprała i pracował w biurze, z konieczności, również rzadko komunikował się kolegami. Rotwand jednak był dosyć lubianym, na przyjaźń wszakże jego z sierżantem Jodką źle patrzono.

Ze względu na niewielką ilość instruktorów naszych utworzono oddział uczniów—kandydatów na podoficerów. Kandydatem mógł być każdy wolontariusz. Niewielu jednak znalazło się chętnych pierwszego dnia po ogłoszeniu utworzenia podobnego plutonu.

Drugiego dnia natomiast, kiedy zapytano, kto chce wstąpić do oddziału uczniów na podoficerów, z szeregu wyszło kilkunastu. M. Rodzyński, mający za sobą kilkanaście miesięcy służby w Legii cudzoziemskiej. Będąc chłopcem siedemnastoletnim na skutek drobnej sprzeczek z rodzicami



wstąpił do Legii, skąd go jednak po długich staraniach rodziców, uwolniono. Rodzyński wkrótce też został kapralem wolontaryuszów.

Z plutonu uczniów kapralami wyszli Jerzy Kijewski, Włodzimierz i Tadeusz Szaniawscy (oficerowie armii rosyjskich).

Kompania składa się z czterech sekcji. Pierwsze trzy sekcye II-ej naszej kompanii były czysto polskie—w czwartej przeważali Polacy, sporo jednak było Żydów, kilku Rumunów, Holendrów.

Do czwartej sekcji przenoszono nas poniekąd za karę za nieumiejętność lub niezdarność.

Nowomianowanych kaprali Polaków porozmieszczano po sekcjach. W pierwszej: Malcz i Rusz; w drugiej: Kijewski Jerzy, Rodzyński Jerzy i Szaniawski Włodzimierz; w trzeciej: Szaniawski Tadeusz i Jerzy Huzarski; w czwartej pozostali francuzi lub kaprale z Legii Cudzoziemskiej.

Po wprowadzeniu względniego porządku i sformowaniu sekcji każdy z nas miał już pewne swoje miejsce, swoich najbliższych kolegów broni.

To właśnie dużo przyczyniło się do szybszej orientacji naszej w wykonaniu wszystkich rozkazów, bez omyłek.

Podział jednak na sekcye nie był ostatecznym, jeszcze szczegółowiej podzielono nas daleko później.

Tak sformowani poczęliśmy obmyślać wykonanie sztandaru—znaku Białego Orła dla naszej kompanii.

Wykonanie sztandaru polskiego polecono Dunikowskiemu, Rotwandowi i mnie. Wspólnie w jednej ze szkół bayońskich narysowaliśmy Orła Białego.

Panie bayońskie podjęły się wyhaftowania znaku na amarantowej materji.

Życie nasze płynęło bez zmian.

Dwa razy na tydzień chodziliśmy do Montbrun na cwi-



Sztafeta legjonu francusko-polskiego we Francji, wykonany podług
rysunku Ks. Dunikowskiego i Jana Żyżnowskiego.

czenia strzelnicze. Okazało się, że Polacy i w strzelaniu wyróżniali się celnością.

Dumni nazywaliśmy się żelazną kompanią.

Powoli z grupy naszej jednako odzianej poczęli wypełzać ludzie o bardziej jaskrawym kolorycie.

Między innemi jeden Litwin, który zajmował się handlem. Wysoki, dobroduszny blondyn, coraz to z jakąś przychodził rzeczą. Stawał na środku, poczem uroczystym głosem zachwalał wartość rzeczy, której się chciał pozbyć.

„Oto piękna szczoteczka, może służyć do ubrania, do włosów, fuzyi, butów, a dla legionisty nawet do zębów.

Tyle wygód za 50 centymów. Można ją nosić w kieszeni“.

Zdziwiony, że niema nabywców, dodawał:

— „Toż wy własnego szczęścia nie widzicie“.

Litwin na ćwiczenia nie chodził prawie nigdy.

„Ja mam sześć chorób—mawiał.—Ustawiczny katar, reumatyzm, łamanie w kościach, bzika, a o innych już lepiej nie mówić“. Gdy go pytano—dlaczego wstąpił do wojska—odpowiadał naiwnie:

„Cóż—ogólny entuzjazm pociągnął, a choroby to do plero teraz.

Reumatyzm od kamieni. Ja przecież wcale nie mam słomy, a śpię przy drzwiach.

Wolontery, wolontery inteligentni, a śpią... Boże zmiłuj się“.

Każda rozmowa Litwina kończyła się gorzkim narzekaniem.

Z najweselszych nigdy i niczem nie przejmujących się ludzi był Szejnkeller.

Pomysły Szejnkellera były znane nie tylko kolegom, ale i władzy. Najlepszy kolega, czasem bardzo dokuczył drobnymi żartami.

„Dla Staśka niema nic świętego“ mawiali poważniejsi.

Różnorodne usposobienia wolontaryuszów zakreślały się coraz wyraźniej na tle ogólnego życia. Trzymano się wciąż jeszcze grupami. Bliżsi znajomi zajęli miejsce na stole jeden obok drugiego. Grupy te, zawsze razem, widywało się w kawiarniach bayońskich wieczorem.

Niedzielę spędzano w Biarritz. Naogół kompania nasza przeżywała dosyć monotennie czas, który schodził na ćwiczeniach coraz bardziej męczących lub odpoczynku.

Niepomyślne wieści z frontu zaczęły dochodzić do Bayonny. Poczęto myśleć o wyjeździe na pozycję.

Pewnego wieczoru 49 pułk piechoty, stojący w Bayonnie, wyjeżdżał na pozycję. Objuczeni żołnierze z kwiatami w lufach karabinów, wśród oklasków, płaczu, życzeń pożegnań, szli na stację. Coś się rwało w piersi, coś ciągnęło tam między nich.

Trzeba jeszcze długo jednak było pozostać w Bayonnie.

Niejednego widok całego ciężaru, który dźwigał żołnierz francuski—przerażał.

Pytano siebie, czy aby podołam. Ćwiczenia bez tornistrów aż nadto nas męczyły. Jakoś tam będzie, pocieszano się. Obiecano nam zmianę naszego dotychczasowego mieszkania ze względu na chłodne noce.

Pocieszono nas i zmartwiono.

Wielki murowany dom z oknami i drzwiami obiecywał nam pewne wygody.

Jednocześnie przyszłe locum nasze, mające chronić nas od chłodu nocy, mówiło, że nie prędko wyjedziemy na front.

Zbliżenie się Niemców pod Paryż, groźba zajęcia Warszawy pochyliły nam głowy ciężkiem zamyśleniem o Polsce.

Wesoły względnie nastrój beztroskiego żołnierskiego życia zmienił się.

Coś gniotącego, trwożącego nadbiegło zdala i w piersi polskiej się przyczało.

Pod koniec września przenosiliśmy się do opuszczonego przez 49 pułk—domu.

Niegdyś klasztor mieścił w sobie niezliczoną ilość pokojików, połączonych długimi korytarzami.

Stary dom, za nim zaniedbany ogród owocowy, kaplica wschodnia, stojąca na tle kasztanów były chwilowymi przypadkowymi koszarami, dla podobnie przypadkowych żołnierzy.

Każdy pokój—raczej cela mnisza, mogąca pomieścić dwóch—szcuptych i nie lubiących się wadzić ludzi—mieściła 6—7 legionistów.

W jednej z takich wązkich klutek znalazłem się z dr. A. Blanksztejnem, K. Dunikowskim, J. Kijewskim, J. Szurygem, J. Rotwandem i K. Szejnkellerem.

Nauczeni doświadczeniem, że w wojsku ma się to tylko—co się ukradnie, co się z rąk słabszego wydrze—poczęliśmy się na wzór naszych cyganów rozglądać, gdzie by też można było znaleźć coś do wzięcia, coś dla wygody codziennej. Jedynym do załatwienia podobnych wypraw H. Szejnkeller—ten z najniewinniejszą miną w świecie przyniósł cztery nowe naładowane słomą sienniki, dzban do wody i dwie kołdry.

W jednym też naszym pokoju wszyscy spali na siennikach—wszyscy mieli własne kołdry wbrew zwyczajowi.

Kołdra bowiem ogólnie przykrywała dwóch wolontariuszów.

Pokój był zupełnie zajęty przez ułożone rzędem sienniki, złożone na dzień, służyły za wygodne, miękkie fotele.

Tragedją, był brak oświetlenia w domu—świec ze względu na ilość słomy palic wzbroniono.

Zaliczni mieszkańcy pokojików, ze względu na ciasnotę

i dziesiątki różnych drobnych rzeczy: pasków, pasów, sprzączek, ładownic, przyborów do czyszczenia karabinów, którym groziło zaginięcie, mimo ciągle zakazy, zapalali świecę co było powodem do kar.

Raz nawet pobito kaprała, który siłą chciał się wdrzeć do pokoju i zagasić światło.

Ten gromadny czyn antymilitarny przeszedł jednak bez poważniejszych następstw.

Najwięcej i najsilniej protestującym przeciwko ciemności był K. Dunikowski, który co wieczór zapalał świecę powtarzając stale: „Przecież ja jestem człowiekiem—cóż wy chcecie—nie można pozwolić...”

Nieustanne protesty nasze zmusiły jednak władzę do zaprowadzenia w całym gmachu elektryczności.

Wieczory i ranki schodziły na kłótniach i wymawianiu sobie wzajemnie, jak kto spał, jak kto wogóle sypia, a zaczynały się przeważnie takimi słowami:

— Jerzy, psiakrew! (słowa aż nadto często używane w legionie) Jeśli ty już tak bardzo lubisz spać na wznak, to po djabła się angażowałeś.

Albo:

— Jestem cierpliwy, ale—jeżeli mi jeszcze raz będziesz pchał palce w nocy do ust i kopał po bokach,—to ci cały dzbanek wody na głowę wyleję.

— Ty z twojem chrapaniem mógł byś iść do ogrodu. Co tobie się zdaje—gdzie ty jesteś?

Chcąc uniknąć nocnych zdarzeń, a później dziennych sprzeczek—Dunikowski odgradził siennik swój od innych szeroką deską.

Nasz majątek chowaliśmy pod sienniki—codziennie zrana w pośpiechu wydzierano sobie różne części naszego umundurowania.

Niektórzy bardziej pomysłowi wypisywali nazwiska swoje na swoich i nie swoich rzeczach. Dunikowski na-

przykład miał trzy paski z wypisami X. Abdank Duniowski.

Potrzebne ćwiczenia znaliśmy już dobrze, były one coraz bardziej męczące—wielu też z nas słabszych i nieprzyzwyczajonych chorowało ze zmęczenia.

Między chorymi jednak byli i tacy, którzy z lenistwa nie chodzili na ćwiczenia.

Codziennie o godz. 5-ej rano przechodził długim korytarzem dyżurny kapral wykrzykując na cały głos:—malades! les malades!

Wszyscy, którzy z jakich bądź powodów nie chcieli pójść na ćwiczenia, lub długi marsz wojskowy, zapisywali się na listę chorych.

Nazwiska chorych zapisywano do specjalnej książki.

O godzinie 9-ej, rano zaczynała się wizyta lekarska.

Chorych ustawiano jeden za drugim i kolejno wpuszczano do pokoju lekarza.

Oględziny trwały zazwyczaj nie długo.

Środki lecznicze były bardzo nieliczne. Na bóle: gardła, piersi; nogi, ręki, nerek stosowano jodynę,—na żołądek jakiś podobny do kredy środek przeczyszczający, albo... albo też jodynę.

Środki wogóle nas nie obchodziły—bardzo natomiast djagnoza.

Po oględzinach t. j. zajrzenia w oczy, popatrzenia na język, doktor notował w książce dla chorych swoje uwagi. Notatki były trojaki: uwolniony od służby zupełnie na tyle i tyle dni; druga (consultation motive) porada umotywowana, ta uwaga nie uwalniała od służby, pozwalała jednak wypocząć pół dnia, trzecia i najgorsza to porada nieumotywowana.

Za ostatnią adnotację groziło cztery dni kozy.

Doktorzy Polacy byli bardzo względni nawet na lenistwo swych kolegów i uwalniali ich bardzo często.

Częste uwalnianie się wołontarjuszów nie podobało się władzy i wszystkich chorych bez wyjątku zamykano w jednym na ten cel przeznaczonym pokoju.

To próżnowanie w zamknięciu odstraszało wielu od możliwości odpoczynku i t. zw. chorych było coraz mniej.

Dowcipni francuzi do melodyjnej rannej pobudki wymyślili odpowiednie słowa, a mianowicie:

„Żołnierzu wstań, żołnierzu wstań,
Jeśliś do wstania nie skory,
Zapisz się, jako chory,
Lecz gdy nie znajdą choroby.
Zamkniętyś na cztery doby“.

Sygnaly francuskie są bardzo melodyjne i ładne, każda melodia ma swoje przez żołnierzy napisane słowa, które jednak do powtórzenia się nie nadają.

Głos trąbki w koszarach brzmi ośm razy dziennie.

Pierwszy, przeklinany, o godz. 4-ej rano na wstawanie, drugi o 9-ej zwołujący chorych, trzeci wołający kaprała dyżurnego, czwarty gromadzący wszystkich na wysłuchanie raportu dziennego, piąty, to rozdawanie listów, szósty i siódmy „la soupe“, ósmy krótki to apel i dziewiąty najwięcej melodyjny—na gaszenie świateł i dobrą noc.

Najlepszymi trębaczami są legioniści—którym kilkunastoletnia nieraz praktyka pozwoliła się wczuć we wszystkie subtelności możliwego instrumentu, jakim jest trąbka—towarzyszka wojsk we wszystkich jego złych i dobrych godzinach.

Ćwiczenia stawały się z każdym dniem coraz bardziej uciążliwe. Dyscyplina wojskowa niewidzialnie wchodziła w życie nasze, coraz więcej ograniczając naszą wolę, za, chcenia ambicję.

Myśl nawet pracowała ostrożnie, jednokierunkowo.

Podczas jednych z ćwiczeń kompanji—wyjąłem chu-

stkę z kieszeni, w celu wszystkim kulturalnym ludziom wiadomym—chustkę do nosa.

Wydobytej nie zdążyłem użyć ponieważ tuż przy mnie stał czerwony z gniewu adjutant rycząc pytanie: „Vous etes ay garde a Vous“?

Zdziwiony, chciałem odpowiedzieć, że to u nas rodzinne, że zresztą prawie wszyscy moi znajomi używają chustek do nosa.

Jak opętany ryknął adjutant: „Milczeć!“

Zamilkłem, nie mogąc powstrzymać zdziwienia i uśmiechu.

Srogi adjutant i to dojrzał, zdławionym szeptem rycząc mi w ucho.

„Ne rigolez pas, je vous en prie!“

Od tego dnia zapomniałem, jak wygląda chustka do nosa—ba nawet dziwiłem się, widząc ją u spotykanych w Bayonnie ludzi.

Do ćwiczeń zwykłych przybyła nam warta. — Ćwiczenie dosyć nużące i wyczerpujące.

Na dwadzieścia cztery godziny schodzili się, do specjalnego na ten cel przeznaczonego budynku, wolontariusze zupełnie ekwipowani.

Co cztery godziny ci sami obejmowali stanowiska wartowników. Godzin warty wypadło na każdego po ośm.

Strzeżone przez nas miejsca zupełnie nie wymagały czujności uzbrojonego w karabin i bagniet żołnierza.

Powierzonych nam jednak stanowisk strzeżliśmy z ogromnym przejęciem—dumni, że wogóle coś nam powierzono, że nawet użycie bagnetu jest dozwolone, jeśli jakiś niespodziewany napastnik chciałby nas, lub strzeżone mienie jak np. parkan rozwalony, lub zapomnianą studnię, uszkodzić. Z zaprowadzeniem warty wykluczone zostało spóźnianie się po dziewiątej godzinie wieczorem.

Po przetrąbieniu „appelu“ każdy spóźniony został odprowadzony na „poste de police“, gdzie zanotowane nazwisko podawano nazajutrz do kary.

„La poste de police“ gdzie odpoczywali wartownicy, była pusta sala, przeznaczona na więzienie.

Kary dla nas stosowane nie były najsurowsze. Najpolszysze było zabronienie wychodzenia w godzinach wolnych od zajęć t. zw. „consigne“.

Kapral miał prawo dać dwa dni wspomnianego „consigne“—sierżant—cztery.

Poza „consigne“ były jeszcze kary: — zwykłe więzienia i cęła — te jednak były nam nieznanę bliżej...

Panie bayońskie, które podjęły się wyhaftowania sztandaru naszego wystawiły skończony w oknie jednego z większych magazynów Bayonny.

Po kilku dniach sztandar był w naszych rękach.

Postanowiono wybrać z pośród nas chorążego. W tym celu zebrali się wszyscy w długim korytarzu o godzinie 8-cj wieczorem.

Mimo tajne głosowanie nie obeszło się bez chałaśliwej agitacji wyborczej.

Wybrany został Władysław Szujski, w którego też ręce złożono Białego Orła.

Niewielkie kadry ze względu na częste połowe manewry nasze musiały być zwiększone. Sprowadzono więc nam kilkunastu sierżantów i kaprali, którzy już, jako stali nasi zwierzchnicy mieli z nami wyjechać na front.

Większość z nowych podoficerów przyjechała z batalionów dyscyplinarnych i wygląd miała zawodowych zbrodniarzy. Do sekcji mojej dołączono niejakiego Royer'a.

Ordynus, bezmyślny żołdak często bardzo władzę swoją posuwał zadaleko—wkrótce jednak i ten ku wielkiemu

swemu zdziwieniu został przez porucznika naszego uspokojony.

Mimo taktowne postępowanie porucznika naszego Doumic'a stosunek z ludźmi, przyzwyczajonymi do wszelakiego typu wyrzutków społecznych, nie był nader przyjemnym.

Ćwiczenia męczące i powtarzanie ich bez końca zda-
wało się nam też być zupełnie niepotrzebnem.

Przemęczeni, nie biorąc jeszcze czynnego udziału w wojnie, postanowiliśmy wysłać zbiorową prośbę do pułkownika o przyśpieszenie wyjazdu naszego na front.

Narzekaliśmy na władzę naszą, która ćwiczeniami wyczerpywała siłę naszą nie troszcząc się, że później, kiedy będzie ona nam więcej potrzebną, może jej zbraknąć.

Sarkania powtarzały się głównie w ciągu zajęć—o godz. 5-ej, t. j. wtedy, kiedy brama koszar się otwierała zapomniano o wszystkim nużącym i niewygodnym.

Gromadkami, odświeżeni, wyczyszczeni śpieszyli wszyscy do miasta, gdzie zajmowali miejsca w znanych kawiarniach.

Wolny czas spędzano przy winie na szerokich werandach bajońskich kawiarni. Śpiewano chórem pieśni polskie, śmiano się z czarnemi, ognistemi francuzkami z południa.

Ma się rozumieć największe powodzenie miały te kawiarnie, gdzie właścicielka lub jej córki były ładniejsze.

Wielu z wolontariuszów pozyskało serce i myśli młodych mieszanek Bajonny. Często też bardzo wieczorami spotkać było można pary wyszeptujące sobie słowa pragnień, przysiąg, miłości.

Częstokroć u bram koszarowych o piątej czekały stęsknione Bajonki na swoich rycerzów, którzy gdzieś aż z Polski przyjechali by walczyć obok przyjaciół Francuzów.

Pamiętam pytanie jednej z czarnookich pięknych mieszanek południa.

„Wy, Polacy, macie wszyscy takie zamyślane, smutne, łagodne oczy—czy wy będziecie mogli zabijać?”

Odpowiedziałem, że: „oczy nasze tak się zmieniają, jak się zmieniały losy naszej Ojczyzny. Że my, albo mamy te łagodne zamyślane oczy, albo nie mamy nic prócz krwawiącego serca, które wyhodowało zemstę”.

Ćwiczenia poszczególne zastąpiły nam t. zw. marsze wojskowe. O godz. 4-ej zrana cały bataljon wyruszał z koszar przy odgłosie trąb na marsz całodniowy i manewry. Za ostatnią kompanją jechały wozy z żywnością i karetka ambulansowa.

Co godzinę zatrzymywaliśmy się na dziesięciominutowy odpoczynek, który w gruncie rzeczy wcale nim nie był. Przestrzeganie porządku w formowaniu się w dwurzęd szybkie ustawianie karabinów denerwowało nas zmęczonych i nie pozwalało na wymagany ład, szybkość i zgodność zwrotów.

O godz. 10-ej rano zwykle dochodziliśmy do miejsca przeznaczonego na manewry, tam po godzinnym odpoczynku dzielono nas na awant-gardy i ariere-gardy, wybierano wywiadowców.

Wszystkie manewry kończyły się atakiem na bagnety wyciem i nieludzkimi krzykami: „Naprzód”.

Zziajani, zmęczeni padaliśmy na miękką trawę, prawie bez życia.

Po krótkim wytchnieniu zabieraliśmy się do obiadu, który po zupełnem wyczerpaniu był największą atrakcją dnia.

Odpoczynek obiadowy przeciągał się zwykle do 3-ej p.p., poczem powracaliśmy do koszar.

Maruderów było nad podziw mało. Niektórzy z nas słabsi z wyraźną trudnością wlekli nogi, dochodzili jednak przez ambicję, bez zatrzymywania się w drodze.

Na jednym z takich marszów podczas dłuższego odpo-

czynku ustawiono nas w dwurząd, poczem na koniu przyjechał komendant. Na rozkaz otoczyliśmy go kołem. Po minach naszej władzy spostrzeżliśmy, że chodzi tu o coś ważnego—nie myliliśmy się.

Komendant głosem poważnym, złym poniekąd zaczął: „Odważacie się na rzeczy, za które przecież grozi wam sąd wojenny. Żadne zbiorowe prośby, petycje, skargi w armii są niedopuszczalne i surowo pod groźą sądu wojennego zabronione. Jednostka może prosić o rozmowę z najwyższą władzą, nigdy gromada.

„Całe szczęście wasze, że jesteście wolontarjuszami i cudzoziemcami.

„A dalej nie myślcie, że chcemy was marynować, że chcemy wami okolice Bayonny upiększać. Nie. Musimy was przygotować, nie wystarcza bowiem sama dobra wola wasza i odwaga—chcąc się bić trzeba umieć się bić, a wyście jeszcze tornistra nie mieli na plecach. Męczycie się kilkunastoma kilometrami, a tam na froncie w okopach żołnierze biją się całymi nocami.

Wyślemy was prędzej niż myślcie, ale musicie stać się żołnierzami—dotąd jesteście jeszcze dziećmi, dla tego wam tak pilno.“

I naprawdę byliśmy dziećmi.

Pierwszy nocny marsz był potwierdzeniem słów komendanta. Obijając nogi o kamienie dreptaliśmy pociemku po wyboistej drodze—zmęczeni i upewnieni w nasze niezahartowanie.

Cofanie się wojsk niemieckich z pod Paryża, porażka na Marnie, zupełnie zajęła nasz umysł, tak że chęć nasza wyjazdu cokolwiek się przyćmiła.

Czy to na skutek prośby naszej, czy też z kolei rzeczy, a przygotowanie nas do wyjazdu zaczęło się odbywać gorączkowo, pośpiesznie.

Do życia naszego w koszarach ciągle dochodziły prze-
najrozmaitsze nowiny.

Coraz któryś z nas uroczyście obwieszczał, że najdalej
za dwa tygodnie jedziemy; że wołontariusze z Bloi już wy-
jechali; że nas wyszłą na trzecią linię ognia; że wreszcie
nas wcale nie wyszłą i t. p., i t. p.

Każda taka nowina pochodziła zawsze z ust najbardziej
wiarygodnych.

Wszyscy bardzo łatwo wierzyli w błakające się po-
głoski, które choć czasem zupełnie nieprawdopodobne, były
dla naszej czekającej wyobraźni pożądaną atrakcją.

Atrakcją także były nowe tornistry, zaopatrzone w dzie-
siątki pasków i paseczków, gamelki*), torby.

Dotąd jednemu nam tylko brakowało—tornistrów, po otrzy-
maniu ich byliśmy pewni, że wyjazd nasz, jest kwestją dni.

Na marsze wychodziliśmy mniej więcej podobni do
żołnierzy, których widzieliśmy jeszcze w Paryżu w pier-
wszych dniach wojny.

Byliśmy dumni z naszych tornistrów, niebieskich po-
krywek, nakładanych na czerwone czapki—z całego naszego
wojennego majątku.

W tornistrach nie nosiliśmy absolutnie nic, na nich
kołdrę i gamelkę.

Dziwiliśmy się też łatwości, z jaką nosiliśmy ten tak
okrzyczany ciężar—tornister.

Poranki zato w koszarach były istnem plekłem.

Zwijanie kołdry podług ustalonego przepisu zabierało
sporo czasu, nie mówiąc już o dziesiątkach pasków, nara-
zie swobodnych, mających, jednak, każdy swoje przeznaczenie.

Wolne chwilowo paseczki trzeba było zwijać w jakieś
fantastyczne kółka, a wszystko podług przeklinanego przez
nas regulaminu.

*) Gamelle — blaszanka żołnierska.

Ó godz. 5-ej rano kaprale i sierżanci biegali jak opętani krzyżąc: „Depeches vous! (śpieszcie się) Plus vite q'ca.

Jeden Jerzy Kijewski mimo, że sam był kapralem, spał najdłużej, wstawał jedynie na jakąś silniejszą groźbę.

Przebudzony, stawał bezradnie na środku pokoju i prosił:

„Pomóżcie mi“.

Trudno było pomagać, wtedy kiedy każdy drżącymi z pośpiechu rękoma dopinał coś, co się akurat dopiąć nie chciało.

Widząc się zupełnie opuszczonym i przestraszonym zmuśną pracą, która już winna była być zrobiona, Kijewski ze zmutkiem rzucał gorzkie: „Niemam już przyjaciół“.

Z dołu rozlegało się gwizdanie i do obłędu doprowadzające przyśpieszanie, groźby, wołanie i t. p. przeraźliwe krzyki.

Ranne przygotowania były naszą tragedją.

Zgadzałem się zupełnie z K. Dunikowskim, który mówił:

„Że to można zwarjować!“

Nikt z nas w Bayonnie nie zwarjował, ale że można było, to pewne.

Na początku października odbyło się poświęcenie sztandaru naszego.

Po mszy polowej, poświęcono Białego Ptaka.

Duży plac za koszarami przepełniony był mieszkańcami Bayonny.

Po poświęceniu odśpiewano: „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“.

Na uroczystości był ambasador angielski z żoną—polką, która poprzez łzy, patrzyła z jakimś zdziwieniem na garstkę Polaków skupionych pod znakiem Ojczyzny.

W kilka dni po poświęceniu polskiego sztandaru mer

Bayonny wręczył Czechom na polu ćwiczeń dwukolorowy sztandar czeski.

W połowie października na podwórku koszarowem zobaczyliśmy siwego już kapitana, który został komendantem naszej kompanji.

Dowódca kompanji polskiej kapitan Lobus przyjechał do Bayonny z bataljonów dyscyplinarnych.

Pierwszego dnia zrobił przegląd wszystkich Polaków.

W mowie swojej do nas kilkakrotnie powtarzał: „że żołnierz nie poto jest, by był jak najprędzej zabitym, a poto, by zabijał, zabijał jaknajwięcej“.

Ja widzę że wam nie brak odwagi, ale brak rozwagi.

Powinniście bezwzględnie być posłuszni, uważni i ostrożni.

Wyrwać się naprzód z bagnetem by zginąć—to głupie, to głupie!

Wojna obecna to nie tygodnie, nie miesiące—to lata“.

Na polu ćwiczeń podczas rozsypywania się w tyraljerkę, za najmniejszy błąd gromił nas wszystkich, sierżantom i kapralom groził że im pozrywa galony.

„Wszystko co widoczne—ginie teraz, krzyczał, trzeba być niewidzialnym, przypadać do ziemi błyskawicznie“.

Ćwiczenia nasze stały się wyczerpującą gonitwą, bezprześcannem padaniem i podnoszeniem.

Naogół kapitan Lobus cały dotychczasowy porządek przewrócił do góry nogami.

Po przyjsciu do koszar wydawano nam coraz to inne, szczegóły naszego „equipment“. Dzień cały był zajęty.

Byliśmy wprost zamęczeni.

Co godzinę był jakiś nowy przegląd rzeczy naszych, a więc: bielizny, ubrania, karabinów, bagnatów.

Zapisywano adresy naszych rodziców, gdzie kogo z rodziny lub blizkich zawiadomić na wypadek śmierci wolta-
rentarjusza.

Pytania zapisującego sierżanta obudziły coś drzemiącego w duszy każdego z nas.

„Jakto więc my możemy nigdy nie zobaczyć tego, co kochamy, za czem tak tęsknimy. Nigdy?!”

I prawie nikt z nas nie dał adresu rodziców, ani miejsca w Polsce, skąd wyjechał.

W wyobraźni każdego z nas widział matkę, trzymającą w rękach tam, daleko, w Polsce świstek pisany po francusku—wieść, że syn jej zginął.

widział łzy, całą rozpacz i drogą, znajomą twarz, w bólu zastygłą.

Podawano adresy kolegów, lub znajomych.

20 października cały bataljon nasz przechodził przez ulicę Bayonny.

Ostatnie ćwiczenie, nauka szybkiego zajmowania pociągów przez żołnierzy, wsiadania i wysiadania, ładowania wozów, mitraljez.

21-go przegląd ostateczny przez generała.

Okrażeni tłumem bayonczyków, przy odgłosie trąb defilowaliśmy jak starzy żołnierze.

O godz. 5-ej wieczorem w koszarach nie było ani jednego żołnierza.

Wszyscy wiedzieli, że jutro wyjazd.

O godzinie dziewiątej siedzieliśmy na werandzie kawiarni.

Dojrzeliliśmy przechodzącego pułkownika zasałtowaliśmy.

Pułkownik uśmiechnął się przyjaźnie i z zadowoleniem powiedział:

„Bardzo dobrze defilowaliście”.

Po krótkiej naradzie postanowiono poprosić pułkownika by nam pozwolił pozostać dłużej w mieście.

Dwaj obecni, a wydelegowani z prośbą kaprale przynieśli pozwolenie zostania, jeszcze pół godziny.

Pół godziny przeciągnęło się do 5-ej rano.

Po pustych ulicach Bayonny szliśmy czwórkami wybijając głośno takt: Un, deux!

Wchodziliśmy do wszystkich kawiarni, nocnych restauracji, wszędzie ze śpiewem--gromadą.

O piątej wróciliśmy do koszar.

Było jeszcze cicho przed starą bizantyjską kaplicą, tylko w głębi przygotowywali kucharze ostatnią „soupe“ w Bajonnie dla wolontariuszów polskich

KONIEC I-ej CZĘŚCI.

DLA POLSKI POD JOFFREM

część druga.



WYSTAWA... 1923...

O 7-cj godzinie rano 22 października zaroło się na podwórku koszarowem. Gołono się staranniej, niż zwykle, myto, czesano przed wyjazdem na front.

„Na front“—dziwne, pełne tajemnicy słowo powtarzało się i słyszało ciągle.

Sierzanci, kaprale biegali, jak opętani.

Do tornistra dorzucaliśmy coraz to nowe szczegóły, jak: sznurowadła, tłuszcz do czyszczenia fuzji i t. p.

O godzinie dziewiątej kazano nam wszystkie rzeczy zapakować, uporządkować zajmowane pokoje, tak by w nich żadnych śladów po nas nie zostało.

Spakowane tornistry, karabin, torby znieśliśmy na dół.

Byliśmy już poniekąd w drodze. Do małych przed chwilą opuszczonych celek klasztoru-koszar nie wolno było wchodzić.

O godz. 10-ej ostatnia wizyta lekarska.

Kolejno byliśmy pytani przez lekarzy czy czujemy się dosyć silni by jechać na front, czy nam nic nie dolega?

Z kompanii polskiej zostali w Bayonnie Ksawery Dunikowski, Djamentowski i Husarski.

Silny rozstrój nerwowy, wyczerpanie nie pozwoliły Dunikowskiemu wyjechać z nami. Żegnając się z nim widzieliśmy żal jego rozstawania się z garstką kolegów.

W ostatniej chwili chciał jechać, na co nie pozwoliliśmy, wiedzieliśmy bowiem, że tam gdzie jedziemy potrzebna nie reszta siły, ale jej nadmiar.

Przed bramą tłumy kobiet z kwiatami.

To wszystko cośmy przywieźli z Paryża z przed gmachu Inwalidów, co wypieściła w nas nasza wyobraźnia od początku wojny, cośmy przed snem widzieli twardym, codziennym na brudnych siennikach koszarowych—wszystko to teraz zwarte zgęszczone drżało w upalnym słońcu południa.

Rozpostarło się nad naszymi głowami, snuło się po ziemi, omotało myśl naszą, która jeśli się na chwilę wyrwała, to już tylko po to by wargami przywrzeć do przedrogich rąk, które daleko może się w tej chwili, w modlitwie, bólu lub niepewności załamały nad losami drogiej Ojczyzny.

Ołówkiem kreślono ostatnie słowa pożegnań, niecałowanym ustom narzeczonych, słano żywe ostatnie pocałunki.

O godz. 12-ej ostatnia „soupe”. Siedząc na kamieniach lub trawie zjadaliśmy pośpiesznie nasz obiad.

Po obiedzie rozdano nam prowianty na drogę.

Manierki napełniono winem.

O pierwszej godzinie „rassablement”.

— Tornistry na plecy! — rozległa się komenda—w sekundę na nasze już żołnierskie plecy wrzuciliśmy ciężkie, misternie spakowane tornistry.

„Armes sur l'épaule-droite!”

Rozdano ostre naboje.

„En avant par quatre!” Trębacze zagrali refrain Legii.

Czwórka za czwórką przechodziła bramę koszar w Bayonie raz ostatni.

Przez miasto przechodziliśmy zarzucani kwiatami, wśród oklasków i krzyków: „Niech żyją Legioniści! Niech żyją Wołontariusze”!

Spoceni, zmęczeni, szliśmy dzielnie w takt trąb, które nie przestawały grać.

Przeładowani, prażeni 38 stopniowym upałem ledwie dowlekliśmy nogi do stacji.

Podczas gdy ładowano do wagonów mitraljezy, muły, konie—odpoczywaliśmy nieopodal plantu kolejowego.

Koszykami przynoszono nam butelki z winem, pomarańcze, czekoladę, papierosy.

Pocałunki, łzy, życzliwość Bayonnek, uściski rąk Bayonczyków towarzyszyły nam aż do chwili, kiedy odsapnąwszy, z namysłem—pociąg nasz ruszył z miejsca.

Przeznaczony na sześciu ludzi przedział w wagonie zajmowało ośmiu żołnierzy z tornistrami, wyładowanymi torbami i karabinami.

Najmniejsze poruszenie jednego z kolegów narażało resztę na śmierć od zgniecenia.

Na stacjach wysiadaliśmy dopiero po usłyszeniu odtrębionego sygnału „Halte-ia!”

Pociąg włókł się niemłosiernie.

W Bordeaux spotkaliśmy kilkunastu Polaków, którzy uciekli z Paryża przed Niemcami.

W Blois przejechaliśmy obok pociągu z wolontariuszami, którzy po nas wstąpili do armii, a którzy również wyjeżdżali na front.

Polaków między nimi nie było; a jeśli i byli to bardzo nieliczni i porzrucani po kompanjach lub sekcjach innych narodowości.

Wieczorem drugiego dnia od wyjazdu z Bayonny zbliżaliśmy się do Paryża.

Dziesiątki reflektorów o różnem natężeniu światła przetykały ciemną nocą, przebiegały przez chmury wymacując ponocnego ptaka-nieprzyjaciela.

Minęliśmy długi pociąg, gdzie w jasno oświetlonych wagonach pierwszej klasy leżeli ranni żuawi.

W wyobraźni naszej widzieliśmy siebie—obandażowanych leżących wygodnie w wagonie pierwszej klasy, już

po chrzcie ognia, już powracających z tego tajemniczego „frontu“.

Zazdrościliśmy żuawom, z których niejeden konający nie zdawał sobie sprawy zapewne ze swego bohaterstwa.

W mroku nocy dostrzegliśmy wieżę Eifel i byliśmy pewni, że choć kilka godzin będziemy mogli spędzić w Paryżu zobaczyć się ze znajomymi pożegnać i kolonją polską.

Pociąg zatrzymał się w Noisy le Sec, gdzie powiedziano nam, że bataljon przenocuje w wagonach.

Wielu z nas chciało się wymknąć do miasta, co ze względu na gęsto rozstawiane warty okazało się niemożliwym.

Spano siedząc na swoich miejscach, śpiące głowy kolegów wspierały się wzajemnie i śniły sny o zbliżającym się jutrze naprzeciw nieprzyjaciela.

Wczesnym rankiem po spożyciu pierwszego śniadania ruszyliśmy nie wiedząc jeszcze dokąd jedziemy.

I tym razem nie brakło domysłów i najbardziej wiarogodnych nowin przyniesionych z sąsiedniego wagonu.

Pod wieczór 25 października pociąg nasz zatrzymał się w zaroślach, gdzie na rozkaz komendanta wysiedliśmy z wagonów.

Kazano nam zupełną ciszę, mówiąc, że zaledwie o kilkanaście kilometrów znajdują się Niemcy i mogą nas dojrzeć.

Te kilka słów rzuciło iskrę do głębi naszej wyobraźni.

Zdawało się, że za chwilę rzucimy się z bagnietami na wroga, że za chwilę nastąpi jakaś straszna rzeź.

Poczęto więc nabijać karabiny, przygotowywać się do spotkania nieprzyjaciela.

Zwierzchnicy nasi poczynając od komendanta, a kończąc na kapralu, na froncie znalazł się pierwszy raz w życiu.

Prócz kilkunastu legionistów Legii cudzoziemskiej żaden z nas nie był jeszcze w ogniu, nie widział okopów, nie strzelał do żywego człowieka.

Jedynie i wszechmożnie panowała wyobraźnią.

Wzdłuż toru kolejowego schodziliśmy z niewielkiego wzgórza do miasteczka, które miało wygląd dziwnie senny i znużony.

W miasteczku, gdzie pozostali mieszkańcy najczęściej uparci, snuły się dziesiątki żołnierzy, przejeżdżali galopem na zmęczonych koniach gońce z rozkazami lub raportem.

W jednej z szerszych ulic miasteczka batalion nasz zatrzymał się.

Wysłano kilku żołnierzy w celu zajęcia i urządzenia kwatery dla nas.

Po pewnej chwili wprowadzono kompanię naszą na strych jakiegoś starego domu, gdzie przed wojną suszono winogrona.

Z radością pozbyliśmy się tornistra i karabinu.

Pozwolono nam wyjść do miasteczka z warunkiem, że o 10-ej wrócimy.

W miasteczku przez które przeszli Niemcy, wszystko nas zaciekawiało, każdy szczegół miał dla nas wielkie znaczenie.

Na spotykanych, wybrudzonych żołnierzy patrzyliśmy z jakimś szacunkiem, oni natomiast spoglądali na nasze wyczyszczone ciemne, jeszcze nie wypłowiałe, granatowe szynele z pogardą i zdziwieniem, że, tacy nowi jeszcze istnieją!

Ponieważ byliśmy głodni, poczęliśmy rozpytywać przechodniów o kawiarnie lub jadalnię. Na nasze pytania odpowiadano nam zdziwieniem lub słowami:

„Tu pense mon vicux q'tu est á Paris* *)

Po długim chodzeniu znaleźliśmy jakąś kobietę, która zgodziła się kupione przez nas mięso usmarzyć, lub ugotować.

*) Ty myślisz, że jesteś w Paryżu!

Udaliśmy się za kupnem. Prowianty były dosyć drogie.
Po niespełna godzinie piliśmy wódkę zwaną mar'em
przegryzając ją gorącą kiełbasą.

O dziesiątej już byliśmy na naszym strychu.

Spaliśmy na gołych deskach.

O północy niektórzy z nas, którzy jeszcze nie spali
zbudzili śpiących głośnym szeptem.

„Nie spijciez do diabła — słyszycie!?”

Zdała dochodziło, długie, ponure, przerywane od czasu
do czasu huczenie armat.

„Atak“! zawyrokował jeden z kolegów.

„Daleko“! uspakajał inny.

Wielu ciekawych poschodziło na dół.

Gdzieś daleko w ciemni migotały czerwone błyski ar-
matnich wystrzałów, widać było drżące pod niebem słabe
magnezjowe światło.

Reszta nocy przeszła bezsennie.

Przed południem, drugiego dnia bataljon nasz wyma-
szerował do sąsiedniego miasteczka Mailly la Champagne.

Po drodze spotykaliśmy wielkie paryskie omnibusy
automobilowe, teraz zmienione zewnętrznie i przeznaczone
do przewożenia żołnierzy.

Mijające nas samochody natłoczone były żołnierzami
pułków kolonialnych w czerwonych fezach na głowie.

Wszyscy mieli wygląd zmęczony, znużony, ubrania ich
były podarte, brudne.

Później jeno dowiedzieliśmy się, że to reszki zwycię-
skich pułków z bitew pod Marną.

W Mailly podzielono nas na kompanje, później sekcje,
i sekcjami rozmieszczono po domach, gdzie niedawno mie-
szkali Niemcy, gdzie później, wczoraj jeszcze odpoczywali
po ciężkich trudach, krwawych walk, strzelcy algerscy,
żywi, senegalczycy.

Żagroda w której umieszczono drugą, moją sekcję należała do jednego z szampańskich winiarzy“.

Ojciec rodziny był na wojnie — matka z córką i nieletnim synem, zamieszkiwali dwa niewielkie pokoje.

Pozostałe dwa pokoje oddano sierżantom.

Później, niektórzy szczęśliwi wolontariusze przenieśli się do wytwornych salonów pani, której nazwiska już nie pamiętam.

Mówię wytwornych, gdyż reszta kolegów moich nocowała w długiej wjazdowej bramie, na brudnej zakurzonej śłomie.

Pierwsze dni schodziły nam bardzo wesoło.

W pośrodku niewielkiego podwórka, przygotowaliśmy obiad, po zapasy do którego chodziliśmy z dwiema game-lami, żołnierskimi kubłami, do sąsiedniej zagrody w której mieściła się pierwsza sekcyja i magazyn kompanii.

Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu codzień rozdawano nam wódkę, wino i czekoladę.

„Na froncie!“ pomyśleliśmy.

Coprawda od frontu byliśmy o dziesięć kilometrów.

Za niewielkie bogactwa nasze kupowaliśmy sobie przysmaki... olbrzymie świeże bułki.

Chleb żołnierski, który dochodził do naszej kompanii już mocno czerstwy jedliśmy z głodu lub braku pieniędzy.

Pozatem pare razy pozwoliliśmy sobie na nadzwyczajny wydatek, mianowicie szampańskie.

Butelka wina szampańskiego w miasteczku kosztowała dwa franki pięćdziesiąt centymów. Suma jednak na nasze, coraz bardziej próżne kieszenie, była dosyć duża.

Z tyłu za domem była wysoka góra, z której spoglądaliśmy często na rozległy krajobraz.

Zabezpieczeni odległością, widzieliśmy, równe spokojne pola, poprzęznane rzadkimi kępami ciemnych drzew,

między którymi co chwila okazywał się kłęb sinego lub czarnego dymu.

Staraliśmy się odgadnąć pochodzenie pocisków.

Sierżant, który równie mało wiedział, jak my z wysokości swego stanowiska objaśnił nas że ciemny dym — to pociski niemieckie, sinawy — francuskie.

Wierzyliśmy.

Nadzwyczajną atrakcję był areoplan niemiecki, który ukazał się w pogodne jesienne popołudnie nad Mailly.

Widzieliśmy girlandę jasnych błękitnych dymków nieopodal niemieckiego ptaka i z bijącym sercem czekaliśmy chwili kiedy trafiony upadnie na jedną z ulic lub domów miasteczka.

Naprzekór jednak naszym chęciom i artylerji francuskiej aparat niemiecki odleciał w stronę ciemnej dalekiej linii na horyzoncie.

Widowisko to powtarzało się dosyć często, zawsze jednak bez oczekiwanego skutku.

Byliśmy podobni do zwiedzonego wyźła, którego czujne wystawianie zwierzyny na nic się nie zdało.

Jeden z kolegów wynalazł zajęcie, a mianowicie ostrzenie bagnetów.

Myśl ta wszystkim się podobała i bagnety nasze wyostrzyliśmy do tego stopnia, że końce ich były ostre, jak igły.

Wyostrzone wbijaliśmy w drzewo. „Człowieka na wyłot“ mówiono z jakimś nowym, dziwnym błyskiem w oczach.

Cztery dni przepędziliśmy zupełnie beczynnje.

Na ciekawych rozmowach z żołnierzami, którzy od początku wojny byli w okopach, do Mailly zaś przychodzili na krótki tylko odpoczynek.

Na wyglądaniu aeroplanów.

Na nasłuchiwaniu przeciągłego huku armat.

Czas wymarszu do okopów zbliżał się — otrzymaliśmy rozkaz trwania w ciągłej gotowości do drogi.

Minęły jeszcze dwa dni bez zmiany.

Na trzeci kazano nam zebrać się przed zagrodą.

W pełnym ekwipunku żołnierskim wyprowadzono kompanję naszą do lasu, gdzie kopaliśmy małe okopy t. zw. „tranchées individuelles“.

Następne dni mijały na uciążliwych forsownych ćwiczeniach.

Ćwiczenia na froncie zgolały się nam nie podobały.

„Zmęczą, zmęczą, a potem, gdy będzie naprawdę potrzeba — to klapa!“ mówili najbardziej zmęczeni.

Wielu z nas dosłownie upadało ze znużenia.

Zbieganie w całym pędzie z gór, następnie wdrapywanie się na nie, wyczerpywało nas okropnie — przeklinałimy też każde ćwiczenia.

Właścicielka zagrody u której kwaterowaliśmy zachwycała się nami — często też mawiała, że takich żołnierzy jeszcze nie widziała, dziwiła się jednocześnie, że nam tak śpieszno do okopów, które znała z ciągłego o nich słyszenia.

Pamiętam jedno popołudnie, które dało nam już pełny przedsmak wojny.

Jeden z kolegów zaintrygowany nieświadomym, a powtarzanym ruchem własnej ręki, podobnym do częstych ruchów małpy — zrobił dokładną rewizję swojej bielizny. Skutek rewizji był taki, że w kilka minut potem wszyscy oglądali najbliższe ciało rzeczy z nadzwyczajnem skupieniem i uwagą.

Jak w sobie tak i w kolegach zauważyłem, pełne zemsty zbrodnicze instynkty.

Ostatnie odkrycie odebrało nam apetyt, coprawda nie na długo. Na wojnie, jak na wojnie! zawyrokowano i powrócono do zwykłych myśli.

Korzystaliśmy ze wszystkich rad dawanych nam przez starych żołnierzy: zlewaliśmy ciało benzyną, naftą, terpentyną, co wszystko razem nic nie pomagało na mnożące się insekty, a wywoływało zapalenie skóry.

„C'est la richesse d'un soldat“ — powiedział nam jakiś stary, doświadczony żołnierz, znoszący z przedziwną obojętnością tak „drobne“ rzeczy.

Z każdym dniem stawaliśmy się i my „starszymi i bogatszymi żołnierzami“.

Wieczorem zawiadomiono sekcję naszą, że zrana dnia następnego mamy objąć wartę przy sztabie, jak również strzec wszystkich dróg wjazdowych do miasteczka.

Tę wartę naprawdę pełniliśmy z ogromną gorliwością. Nocą przechodziliśmy puste ulice miasteczka z dumą ludzi, którym powierzono spokój wszystkich mieszkańców.

Pierwszy raz też mieliśmy z rozkazu nabite karabiny, z których wolno nam było strzelać, jeśli ktoś zatrzymywany przez nas nie znałby hasła.

Jakże prosiliśmy los, by naprzeciw naszego wyostrzonego bagnetu zjawiło się jakieś wrogie indywiduum.

Podczas warty naszej, jednak nic nadzwyczajnego nie zaszło — cali, cokolwiek zmęczeni wróciliśmy do naszej zagrody.

Kiedyż pójdziemy do okopów? — pytaliśmy ciągle siebie i wszystkich.

Okopy, które wyobraźnia nasza nam pokazywała, jako rowy w których się kłęczą lub stoi, miały w sobie coś tajemniczego, jak wszystko nieznanne pełne nowej — bogatej treści — uśmiechały się do nas wabnie, ponętnie.

W czasie kiedy najbardziej tęskniliśmy i pragnęliśmy zmiany wrażeń — otrzymaliśmy rozkaz ostatecznego przygotowania do drogi.

O godz. 2-iej w nocy mieliśmy wyruszyć w stronę okopów.

Przygotowania nasze do wymarszu — podobne były do przygotowań ludzi wybierających się na śmierć w dniu jeszcze nieokreślonym, ale bliskim.

To co w Bayonnie uważano za konieczne do życia, za niezbędne, teraz wyrzucano.

Starano się zaopatrzyć bidony, napełnić je koniakiem, lub podobnym mocnym płynem.

Życie nasze zamykaliśmy w wyobraźni naszej w kilku dniach, najwyżej tygodniu.

Wówczas miało dla nas to wszystką i jedyną wartość, co mogło być przyjemnem w ostatniej chwili.

Mimo pewien przebiegający ciałem dreszcz nie było w nas wszystkich cienia strachu, był jeno ten niepokój czekania momentów wypiełgnowanych młodością, zapalem i marzeniem o promiennej aureoli nad głowami poległych bohaterów.

Po wypiciu kilku butelek szampańskiego, serdecznem pożegnaniu z właścicielką zagrody i jej córką śpiewaliśmy: Jeszcze Polska nie zginęła.

Podobało się to widać francuzom, bo ściskali nam ręce z wiarą w nas, w nasze polskie zwycięstwo.

Garstka nasza rosła do rozmiarów polskiego wojska — tyle w niej było wiary, odwagi i widocznej narodowej miłości.

„Rasssemblement!“ krzyknął sierżant.

W cichej, mrokiem otulonej ulicy ustawiliśmy się w dwurząd.

Sierżanci głośno czytali nazwiska.

Z szeregu odpowiadano — present (obecny).

Do kolegi mego najbliższego sąsiada podeszła młoda dziewczyna i z prośbą wyszeptwała za plecami:

„Tu m'ecrira mon petit? Ecris — je t'en supplie“. Prosiła przez łzy.

Była to córka właścicielki opuszczanego przez nas domu.

„Comptez vous quatre!” usłyszeliśmy komendę.

Un, deux, trois, quatre i znów un, deux, powtarzano od lewej ku prawej stronie.

Czwórkami równym krokiem przechodziła pierwsza polska sekcja.

„En avant par quatre — maa...rchel”

Ruszyliśmy śladem idącej na przodzie sekcji.

Całe Mailly powtarzało kroki nasze.

Wyszliśmy na szeroką drogę.

„Pas de route, marche!” usłyszeliśmy głos sierżanta po gwizdku dowódcy kompanii.

Broń przewieszono przez ramię, rytm kroków rozpadł się.

Od czasu do czasu w odpowiedzi na cichy szept wolontaryuszów padało w mrok głośne „Silence!” sierżanta.

Szliśmy drogą, którą między po obydwu jej stronach wzniesionymi polami winogron, teraz raczej lasem gołych kołków, przypominała wyschłe koryto rzeczne. Zbliżyliśmy się ku ciemnej niewysokiej linii, kryjącej dalszy widok. Naprzeciw nas, blisko pierwszych szeregów wyłonił się kwadratowy lasek.

U stóp młodych cienkich drzewek po krótkiej komendzie haltel — zatrzymaliśmy się. „En ligne face à gauchel” zakomenderowano.

Ustawieni w dwurząd zrzuciliśmy tornistry, ustawiliśmy karabiny w kozły.

Sierżanci powtarzali nam rozkaz zachowania zupełnej ciszy, nie palenia papierosów i nie oddalania się na krok od kompanii.

Trudno było jednak nie palić — to też staraliśmy się zapalić papierosa w jakiś niewidoczny sposób. Chodziło

o zapalenie pierwszego. Przykryta połamami szynela i czapkami zapałka w chwili zapalenia się rzuciła wąską smugą światła.

W gromadkę winnych wpadli sierżanci.

Zaczęły się ostre uwagi i tłumaczenia.

Dla przekonania nas jeden z sierżantów powiedział nam, że jeszcze wczoraj byli tu Niemcy, że jesteśmy za ledwie o kilometr od okopów.

Wszystko to nie przeszkodziło, że od zapalonego papierosa, zapalono i inne i tak aż do zadowolenia wszystkich palących.

Zaciągano się ukrytym w rękawie papierosem.

Na równinie przed laskiem siedzieliśmy długo.

Mrok pierzchał. Coraz bardziej przezroczysta szarość zwlekała się na ziemię.

Drzewa wyłaniały swoje wilgotne pnie z gęstego mrocznego, tkanego nocą płaszcza.

Gęsty kwadratowy lasek mahał — szpetniał w szarobłękitnym świetle poczynającego się dnia.

Drobne liście suchotnicznych brzózek, koloru gnijących cytryn drżały bezradnie.

Naokoło pni stratowana, zaśmiecona papierami i słomą ziemia przypominała podmiejskie miejsca wycieczek.

Między drzewami w szerokich czerwonych szarawarach snuli się zaspani, brudni strzelcy algierscy.

Muły i nieliczne konie, zdawało się odczytywały komunikaty oficjalne z poniewierających się na ziemi dzienników.

Zmęczonemi i zawiedzionemi oczyma patrzyliśmy na otaczające nas widoki nie mogąc pojąć, gdzie my jesteśmy, gdzie jest ten nieprzyjaciel, przed którym trzeba było, aż tak bardzo, się kryć i milczeć.

Gdy między gęste, anemiczne drzewa wtłoczyły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, kompanja nasza ruszyła drogą obok lasku.

Nie mieliśmy pojęcia dokąd idziemy.

Po przejściu kilkuset kroków — zatrzymano nas głośnym: Halte!

W dole osłoniętym drzewami ciągnął się rząd piwnic z niewielkimi kwadratowymi otworami, służącymi za wejścia.

Piwnice, raczej lodownie bez lodu nad brzegiem kanału Aisne — jako nasze domy mieszkalne wyglądem swoim raczej straszyły, niż zachęcały. Tornistry nasze poukładaliśmy wzdłuż piwnic i odrazu z rozkazu kapitana zabraliśmy się do pracy.

Reparowaliśmy załamane dachy, stare nadgniłe podpory drewniane zamienialiśmy nowemi.

Dzień cały zeszedł nam na pracy. Byliśmy prawie pewni, że będą używać nas tylko do podobnych robót przygotowawczych, pomocniczych.

Pod wieczór zobaczyliśmy idące wojska, które szły w kierunku nieznanym nam miejsc, wychodziły zaś z ziemianek odległych od naszych zaledwie kilkaset kroków.

Do opuszczonych przez nieznaną nam wojska lochów dźwigaliśmy manatki swoje.

Do mieszkań naszych trzeba było wpełzać, tak niskie i wąskie było wejście.

Wewnątrz lochu coraz któryś z nas uderzał głową o podtrzymujące dach belki.

Było przeraźliwie ciemno i nisko.

Wreszcie przy świetle lichej kaprałskiej latarni zajęliśmy miejsca.

Zajęliśmy!

Wszystkim by się zdawało, że szesnaście metrów ziemi są aż nadto wyzyskane, gdy na nie ułoży się ośmnaście ciał ludzkich z całym swoim bagażem.

Zmartwieliśmy, gdy zzewnątrz wpadły słowa sierżanta, który zupełnie nie żartując rozkazał nam zrobić miejsce jeszcze na czternastu kolegów. Odpowiedzieliśmy, że jest to absolutnie niemożliwym.

Dosyć silnym argumentem było powiedzenie, że ziemianka jest przeznaczoną na trzydziestu dwóch ludzi i że zawsze tyle się mieściło.

Zaczęliśmy więc układać tornister przy tornistrze — których w rzeczywistości mieściło się trzydzieści dwa. Przestrzeń zatem zajmowana przez jednego żołnierza nie mogła przewyższać 50 centymetrów.

Na takim pół-metrowym łożu można było spać, wtedy tylko, gdy kolano, lub ręka kolegi, nie zapominała się i nie kierowana jakimś wojowniczym snem odpoczywała bez ruchu.

Takich bezwzględnie spokojnie śpiących kolegów było jednak bardzo mało.

Często w nocy śpiących budziły głośne djalogi w rodzaju:

— Te! Władek — może byś zdjął nogę ze mnie.

— Czego mnie budzisz?

— Zdejm nogę!

— Nie wiem co ci to przeszkadza.

Albo:

Gdzieś mi kołdrę ściągnął.

— Kto?

— No ty.

— Ja? Idź do djabła!

Djabłem albo „psią krwią“ zwykle kończyły się djalogi w ciemności.

W całym lochu było jedno wejście.

Dlatego by wyjść w nocy z ziemianki trzeba było wykonać cały szereg akrobatycznych ruchów na czworakach.

Skradającego się, często jednak goniły przekleństwa lub ciężkie żołnierskie buty, za nadeptany odcisk lub inną uszkodzoną część ciała.

Ze względu na słomę, jedno wyjście i ciemność, postanowiliśmy nie palić papierosów wewnątrz ziemianek.

O postanowieniu zapomnieliśmy jednak już na drugi dzień.

Słoma była tak wilgotna, że nie mogło być najmniejszej obawy pożaru.

Dnie schodziły nam na kopaniu nowych ziemianek, przynoszeniu drzewa, słomy, gałęzi,

Od godz. 6-ej wieczorem byliśmy wolni.

Długie jesienne wieczory mijały wolno. — Pisano listy, opowiadano sprośne anegdoty, robiono jak zwykle domysły, przypuszczenia na przeszłość.

Jednej nocy nad ranem zbudziło nas dolatujące z zewnątrz wołanie „Tout le monde debout!“

Sacs au dos! Aux armes!“

Zawrzało w ziemiankach...

— Świece, zapalaki, latarnie!

— Prędko! Atak!

— Zapalaj do diabła świece — kapral!

Budzono śpiących, zwijano kołdry, nabijano karabiny. Może Niemcy wzięli pierwszą linję okopów i idą dalej — może już są nad kanałem.

— A jakże! Niemcy nad kanałem i więcej wojska nie ma prócz nas — odpowiadano z niedowierzaniem na przypuszczenia.

— Patrzcie ten śpi jeszcze. Udał się. Wstawaj. Niemcy.

— Gdzie? usłyszano zaspany głos.

— Za kanałem — wstawaj psiakrew!

— W Berlinie! Co?! obudzony zaczął się rozglądać, a gdy zauważył, że wszyscy koledzy są już przygotowani do wyjścia — zerwał się i zaczął pośpiesznie składać rzeczy do tornistra.

Coraz wyraźniejszy dolatywał z zewnątrz gwar.

„Sortez“ krzyczeli sierżanci biegając wzdłuż ziemianek. Jeden za drugim wychodzili gotowi do drogi żołnierze. Ustawiali się w dwurząd—czekali.

Padał drobny gęsty deszcz.. Szerokie buraczane liście chyliły się leniwie to w jedną, to w drugą stronę.

Zdała dochodziły, przedzierając się przez gęste zarośla, karabinowe strzały.

Przypuszczenia nasze rosływały się w wilgotnym mroku ciemnej nocy.

Cisza dokoła, senne leniwe otoczenie skostniałych drzew, mokre połyskujące buraczane liście, szara dziobata przez deszcz powierzchnia kanału Aisne mgłą kryły obrazy wyobraźni, wciągały w siebie, upodabniały sobie.

Po kilkunastu minutach kazano nam wejść z powrotem i położyć się.

— Komu by się tam teraz chciało atakować, mówił najdłużej śpiący kolega.

— A wreszcie was noworodków wojennych do ataku— śmieszne tygrysy! — dorzucił gramoląc się na czworakach na swoje legowisko.

Powymowano naboje z karabinów, układano się na nowo do snu.

Po tej przerwanej alarmem nocy minęło kilka dni spokojnych.

Czwartej dopiero nocy alarm się powtórzył—tym razem przed północą. Poważne przygotowania nie pozwoliły nam wątpić, że opuścimy, jeśli nie na zawsze, to na długo nasze lepianki do których już przyzwyczailiśmy się.

Ukryci za małym sosnowym laskiem zaopatrywaliśmy nasze torby (musette) w prowianty, bidony napełniliśmy winem.

Przed odejściem kapitan kompanii naszej objaśnił nas, że idziemy zająć pierwszą linię okopów, że w drodze konieczne jest zachowanie zupełnej ciszy i że samo przejście do okopów jest bardzo niebezpiecznym.

Czwórkami szliśmy wzdłuż kanału, aż do szerokiej poprzecznej drogi, przewlekającej się przez drewniany most, a ginącej w gęstych mrokiem spowitych zaroślach. Wielki młyn wodny wynurzał z kanału wysoko sylwetę szerokiego dachu, ponad ciemną koronkę gałązek młodych drzących brzoź.

Każda czwórka kompanii naszej wybijała takt ciężkimi żołnierskimi butami na drewnianym moście.

Zeszliśmy na szeroką błotnistą drogę w gęstwinie.

Rzadkie strzały karabinowe słyhać było wyraźniej.

Od czasu do czasu bzyknęła nad uchem zabłąkana kula.

Wysoki nasyp zagroził drogę. Zatrzymaliśmy się.

Jeden za drugim schodziliśmy w głęboki wąski rów.

Nareszcie okopy — te okopy o których słuchaliśmy z taką ciekawością od początku wojny, które w wyobraźni widzieliśmy stokroć gorszymi od tych teraz wygodnych głębokich bezpiecznych rowów.

Dziwiło nas, że na przestrzeni co najmniej pięciuset metrów nie spotkaliśmy żywej duszy.

Po kilkudziesięciu minutach marszu linja okopów z prostej przechodziła w zygzakowatą.

Częste, nagłe skręty narażały nosy nasze na poważne uszkodzenie o tornister na przodzie idącego kolegi.

Całą uwagę naszą zajął napotkany żołnierz, owinięty w szarą kołdrę, stojący z karabinem przed żelazną tarczą na warcie.

Teraz, co chwila zatrzymywaliśmy się. Idących na przodzie kolegów rozmieszczano po mieszkaniach, wyraźniej wgłębieniach w ziemi, jak płytkich pochyło kopanych grobach.

Wreszcie i ja z moją „esquade'ą“ doszliśmy do miejsca przeznaczenia t. j. do naszego schroniska.

Schroniskiem był ten sam okop-rów, cokolwiek szerszy od zwykłego przejścia przykryty dachem z desek, na które narzucono grubą warstwę ziemi.



Okopy w Syllezy.

Gdyśmy weszli pod ten prymitywny dach, była jeszcze noc, która nie pozwoliła nam rozejrzeć się i mniej więcej zdać sobie sprawę, gdzie jesteśmy.

Nie pozostawało nam nic innego, jak rozpakować torby, owinąć się w kołdry i spać.

W kilka minut chrapanie śpiących głośnyło rzadkie strzały.

Z wczesnym świtem większa część kolegów nie spała. Dziwnie bezbarwnie poczynał się szary jesienny dzień

Obudzeni zaczęliśmy się rozglądać, raczej wyglądać przez małe okienka do strzelania.

Odległe o kilkadziesiąt metrów niemieckie okopy spoglądały na nas czarnymi otworami przyziemnych okienek, podobnymi do ślepi chciwego potwora.

Z jaką radością zaczęliśmy strzelać w ten rząd ciemnych punktów nad ziemią—trudno powiedzieć.

Wszyscyśmy robili wrażenie młodych chłopców, którym powierzono coś ważnego, a w ręce dano narzędzie śmierci. Strzelaliśmy bez przerwy.

Zaspokojenie oddawna zrodzonej, z każdym dniem rosnącej chęci—po godzinie przestało nas zajmować.

Nie mogliśmy sprawdzić rezultatu naszych strzałów.

Dla przekonania się na ile strzały nasze są celne strzelaliśmy do blaszanych pudełek od sardynek, konserw, lub butelek wiszących na drutach.

Pamiętam, moją radość, gdy nad głową zobaczyłem jastrzębia — był to jeden widoczny wróg, do którego mierzyłem z wstrzymanym oddechem.

Po strzale niemiłe rozczarowany widziałem jastrzębia odlatującego w stronę zażawionego jesienną mgłą lasu.

Dla urozmaicenia strzelaliśmy salwami, mierząc w jeden umówiony otwór. Strzały nasze widać osiągały pożądany skutek, nagle bowiem z przeciwnych okopów posypały się gęste strzały.

Słyszeliśmy nad głowami z sykiem przelatujące kule niemieckie.

Niemcy strzelali bardzo celnie. Punktem do którego strzelali co parę sekund, było okienko nad wejściem do naszego schroniska.

Słup podtrzymujący, dach, stojący wewnątrz na wprost wspomnianego otworu był kompletnie postrzępiony kulami.

Gdyśmy spostrzegli ciągle grożące niebezpieczeństwo
wchodziliśmy do wewnątrz pochylając się nisko, co po-
zwalało nam kpić z przelatujących kul.



Każdą głucho uderzającą w gruby sosnowy pień witano uwagami. „Cholera — znów! Swoją drogę oni dobrze biją. Bo mają nastawione karabiny“.

W długim granatowym płaszczu z laską w ręku przyszedł kapitan. Staruszek przyszedł z uwagami, że zachowujemy się jak dzieci, że zupełnie napróżno narażamy się na niebezpieczeństwo.

Po obejrzeniu naszego locum odszedł.

Zauważyliśmy, że się zmienił, zmiękł. stał się bardziej serdecznym.

Pierwszą smutną nowiną była rana kolegi Kostrzewy, który należał do pierwszej sekcji polskiej. Rana jednak była dosyć lekka — kula przeszła lewą rękę, co niczem poważnym nie groziło.

Przykrym bardzo wypadkiem była śmierć porucznika Doumie'a.

Porucznik został zabity w chwili, kiedy ostrzegał jednego z kolegów stojących na warcie, przed niebezpieczeństwem wychylana się ponad nasyp.

Rażony w szyję padł martwy na miejscu.

Śmierć zacnego porucznika przygłuszyła naszą beztroskę wesołość. Żal zabitego i groźba wisząca nad kolegami każały nam powagę.

Nad wyraz niemilem było wrażenie, kiedy wieczorem niesiono ciało porucznika! Wąskie zakręty nie pozwalały nieść ciała wewnątrz okopu. Niosący często byli zmuszeni wyrzucać trupa na nasyp, poczem przepychać go dalej długimi drągami.

Ze względu na częste skręty manipulacja powtarzała się co kilka metrów.

Z jaką radością zobaczyliśmy, że nisko nad ziemią pochyleni Niemcy nieśli ciała rannych, może zabitych.

Wszyscy bez wyjątku chcieliśmy strzelać w ten po-grzebowy pochód — ledwie zdołano nas powstrzymać.

Dziś się pytam jeszcze skąd się wzięła ta bezwzględność w naturach najbardziej miękkich i subtelnych. Skąd ta zdecydowana żądza krwi u ludzi, którzy kilka miesięcy temu bledli na jej widok?

Wojna! Węzeł sentymentu i dzikiej krwawej bezwzględności.

Resztę pierwszego naszego dnia w okopach spędziliśmy na poznawaniu otaczających nas szczegółów.

Na noc przygotowaliśmy masę nabojów i na umówiony między nami znak poczęliśmy strzelać gęstymi salwami.

Ogień nasz zaniepokoił Niemców, którzy sądząc że są atakowani puścili w ruch mitraljezy, strzelając też bez przerwy i z karabinów.

Ta żywa z ich strony odpowiedź uspokoiła nas trochę.

W okopach Sillery zostaliśmy trzy doby. Najbardziej dokuczyło nam chodzenie po żywność.

Kuchnia znajdowała się nad kanałem odległym od nas o cztery kilometry.

Przejścia t. zw. tranchées de communications nie były dosyć głębokie, a bezustannie ostrzeliwane przez Niemców. Niosąc żywność trzeba było iść nisko się pochylając, co ogromnie męczyło.

Podczas naszego pobytu w okopach Sillery zabitym został adjutant kompanii, ciężko rannych było dwóch Czechów, odłamkiem granatu także został ranny Holender-Weber.

Weber szedł z rozkazem do kapitana, kiedy odłamki granatu ugodziły go w piersi. Mimo ciężką ranę dowlókł się do kapitana i rozkaz wręczył.

Na trzeci dzień otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do drogi.

Po północy opuszczaliśmy okopy Sillery.

Prowadzący naszą sekcję sierżant Franken upił się przed wyjściem, skutkiem czego zablądził w labiryncie okopów narażając całą sekcję na poważne niebezpieczeństwo.

Dzięki jednak przytomności umysłu kilka kolegów znajdujących się na przodzie—szczęśliwie doszliśmy do młyna, gdzie zniecierpliwiona czekała nas reszta kompanii naszej.

Szliśmy wzdłuż znanego nam kanału Aisne — dokąd jednak — nie mieliśmy pojęcia.

Żołnierz na wojnie staje się takim podczłowiekiem nigdy nie wiedzącym dokąd idzie, dlaczego biegnie, gdzie będzie spał, czy i co będzie jadł i co będzie za chwilę robił.

Jedno wie że zawsze i wszędzie ma być do wszystkiego i na wszystko gotowym.

Ta zupełna nieświadomość treści chwili nadchodzącej, bezplanowość osobista najwięcej męczą w pierwszym okresie wojaczki, kiedy wyobraźnia nie jest jeszcze zupełnie znieczulona.

Z nad kanału wydostaliśmy się na błotnistą drogę między wysokie, już bezlistne drzewa.

Tu kompanję naszą zatrzymano dla odpoczynku.

Dziesięć minutowe odpoczynki są napewno jedną z największych rozkoszy żołnierskich. Z jaką niewysłowioną przyjemnością ustawia się w kozły ciężkie karabiny, zrzuca w błoto pięćdziesięć funtowy tornister, a potem kładzie się, byle gdzie w grząskie błoto, na kamienie—był całym, zmęczonem ciałem.

Po odpoczynku ruszyliśmy dalej. Szliśmy w milczeniu z trudem wlokąc znużone nogi.

Trzy minione doby nowych wrażeń, bezsenność wyczerpały nasze siły—szliśmy przez postanowienie woli całej gromady.

Przy końcu drogi słabo zarysowały się jasne ściany domów na tle gęstego wilgotnego mroku listopadowej nocy.

Wchodziliśmy w ulice małego miasteczka Prunay.

Prunay przedstawiało widok okropny. Ani jednego domu, jednej ściany całej. Wszystko poszarpane, porwane w ruinach.

Połamane drzewa, tysięcznie podziurawione ściany, wreszcie pogieęte blaszane szyldy przywołujące przechodniów do restauracji z salą na zabawy, bale i uczyty weselne — uśmiechały się irocznie złym bolesnym śmiechem.

Wartownicy na każdym rogu pustej głuchej uliczki.

Czerwony krzyż na białym od góry złamanym murze, zdawał się być żywą znaczonej krwią. Poste de secours.

Z plwnicy wydobywa się nieostrożny cienki promień światła świecy—kładzie się na gruzach—żyje i wabi oczy przechodzących—ciemnych uzbrojonych nocnych duchów.

Mijamy umarłe miasteczko—przechodzimy tor kolejowy. Dół wyrwany pociskiem—obok wpoprzek leżąca zardzewiała szyna.

Za plantem wąska ścieżka pochyło idąca w ciemny rów, gdyby w rozwartą ziemię.

Gęsiego jeden za drugim schodzimy do okopu.

Między wysokimi ścianami wąskiego rowu idziemy zdaje się bez końca. Zupełnie bez sił dochodzimy do małego brzoźowego lasku. Wychodzimy na jakąś szeroką szosę.

Zasłonięci gęsto rosnąciami brzoźkami ustawiamy się w dwurząd. Jak z pod ziemi wychodzą milczący żołnierze, przechodzą koło nas, wreszcie giną w ciemnym rowie, z którego przed chwilą wyszła reszta kolegów.

Gdzieś na prawo długi czerwony budynek, bez dachu, okien, podziurawiony—beznadziejnie spogląda na dwie sylwety wieży kościoła w Prunay.

Schodzimy znów do okopu. Mijamy cienkie jasne brzoźki—oczy biegnące po równinie wygrzebują w mroku nasypy niemieckich okopów.

Stajemy. Sierzanci rozmieszczają nas po małych ziemiankach. Rozpacz z braku miejsca. Trzeba sobie radzić. Na trzymetrowej przestrzeni układamy się jeden przy drugim, ośmiu. Umówione—wszyscy na prawy bok. Śpimy.

Oto bez przebudzenia przespaliśmy kilka godzin.—Eh kawa! Wstawać! — krzyczą kucharze. Każdy ze swoim „karem“, blaszaną filiżanką, śpieszy po trochę czarnej lurki.

Śniadanie. Po śniadaniu rozglądamy się przy świetle dnia w otaczających nas rzeczach, szczegółach, miejscach.

Okopy są czyste, porządne — nawet wygodne niema porównania z tymi w Sillery. Sekcja moja—druga, umieszczona pośrodku zajmuje przestrzeń pięciuset metrów.

Z lewej strony naszej linii obronnej znajduje się trzecia sekcja położona pod prostym kątem—przedłużeniem linii obrony trzeciej sekcji jest wysunięte naprzód miejsce t. zw. poste-d'ecoute.

Poste-d'ecoute znajduje się w małym brzożowym lasku. Po prawej stronie mojej sekcji znajdują pierwsza sekcja, skryta kępą ciemnych, starych świerków.

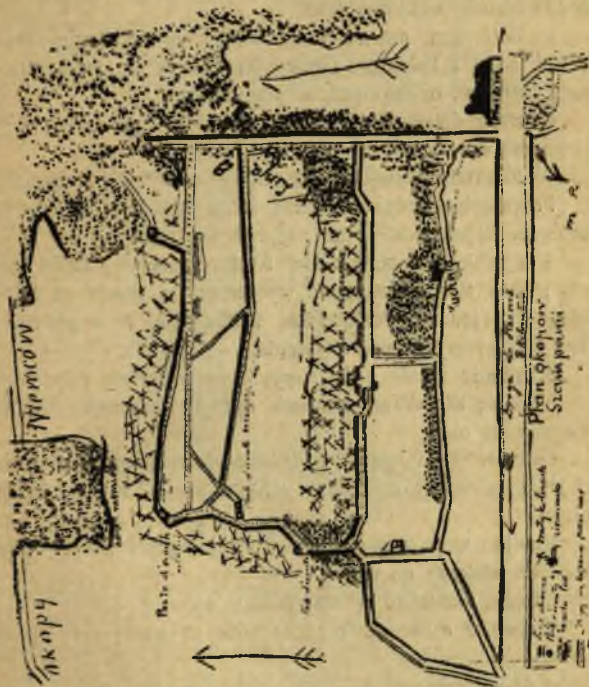
Od środka naszej linii idzie długi, głęboki i kręty okop, który prowadzi do kuchni i na Markizę. Tak nazwany został na poły rozwalony, murowany dom w piwnicach którego mieści się posterunek lekarski, kwatera komendanta, biuro kompanii i magazyn).

Niegdyś podwórze, dziś zavalone gruzami miejsce przed Markizą z studnią pośrodku jest dla nas punktem doniosłej wartości.

Zdaje się niepotrzebna, snuje się przed oczodołami po wybitych niegdyś żyjących oczach Markizy—gładka, jasna szosa.

Za nią cmentarz. Kilkanaście mogił żołnierzy z wetkniętym drewnianym na przedce zrobionym krzyżem.

Cały ranek zwiedzamy nasze, poniekąd, miasteczko.
 Wąskie między nasypami ścieżki przypominają ulice.
 Dzień z łaskawem słońcem pokazuje nam wszystko
 otaczające w dobrem pogodnym świetle.



Nie zwracamy uwagi na przelatujące nad głowami
 kule, czujemy się jak dzieci, które nocą wprowadza siwo-
 brody starzec, gdzieś w nieznane krainy wrażeń i tajemnic:

— Ee tu jest zupełnie dobrze! coraz słyszy się słowa kolegów.

Naprzeciw nas, daleko może o jakie ośmset kilometrów linja nieprzyjacielska.

Tuż obok ich linii jasnych nasypów, niewielki, ale tak bardzo ciemny sosnowy laszek.

— Oni tam pewno mają swoje post-d'econte—robi uwagę jeden z kolegów. I mały laszek staje się jeszcze bardziej czarnym, oddalonym, nieprzejrzany.

Godzina dziesiąta — sześciu nas idzie po „wiwry“ *) (żywność) do magazynu.

W Markizie dostajemy ser, wino, sardynki, czekoladę.

Przyniesione zapasy serżant dzieli między esquade'y**) następnie kaprale dzielą na pojedyncze części.

Wszystkiego dostaje się w bardzo szczupłej ilości razem jednak stanowi zupełnie wystarczającą porcję na śniadanie dla jednego człowieka, tembardziej że o godzinie 11-ej i pół jemy gorące śniadanie.

Śniadanie składa się z zupy, kawałka mięsa i jarzyny.

Nikt się nie skarży na brak apetytu — porcje znikają w mgnieniu oka.

Gamelle***) (Gamela) szybko opróżniona myje się zaraz po jedzeniu—myje to znaczy wyciera się do sucha, skórką chleba.

Kolejno w porządku nazwisk znajdujących się na liście sierżanta idziemy na wartę.

Zajęcia rozłożone w następujący sposób:

Pierwsza esconade przeznaczona na wartę uwolniona

*) Wiwry—francuski vivre—spolszczone przez legionistów jak wiele słów, którym nadano brzmienie polskie.

**) Czwarta część sekcji składająca się z 14—16 żołnierzy.

***) Gamelle — blaszane naczynie żołnierskie z pokrywą, w którym można także i gotować, ma każdy żołnierz i nosi przytroczone do torni-stra. (Spolszczono—Gamela).

bywa od wszelkich innych zajęć — następne trzy pozostają do rozporządzenia, a więc: kopania okopów, chodzenie po zapasy żywności dla całej kompanii, patrole i t. p.

Podczas dnia jedynym posterunkiem dla warty było poste—d'éconte w lasku—nocą natomiast trzy.

Pierwszy dzień nasz w okopach Prynay minął zupełnie spokojnie, nawet wesoło.

Nazajutrz zbudzono nas wcześniej i wyznaczono pracę.—Pogłębialiśmy okopy. Łopatami i kilofami pracowaliśmy



do dziesiątej. Choć pracowaliśmy z zapalem, rezultaty jednak pracy naszej były niewielkie ze względu na naszą zupełną nieumiejętność i nieznamość podobnej specjalności.

O godz. 1-ej i pół popołudniu, gdy po odpoczynku zabieraliśmy się do pracy, z świstem naleciały pociski niemieckie, pękające to przed, to za naszymi okopami.

Bombardowanie nie trwające dłużej niż pół godziny już nie to, że nie budziło najmniejszego lęku, było dla nas

bardzo przyjemną atrakcją. Bombardowanie przeszło bez żadnych złych skutków — nikogo bowiem nie raniło.

Następne dni schodziły nam na pracy, t. j. pogłębianiu okopów, kopaniu rynsztoków, któremi spływała woda, gromadząca się na ścieżkach.

Nie strzelaliśmy prawie zupełnie, było to poniekąd rodzajem pogardy dla naszych nieprzyjaciół strzelających bez przerwy.

Bombardowanie naszych okopów powtarzało się codziennie o jednej i tej samej godzinie—było dla nas ciągle jeszcze rozrywką, która od początku naszego pobytu w okopach szkody nikomu nie zrobiła.

W przeciągu kilkunastu dni Niemcy wyrzucając do stu pocisków codziennie żadnego z nas nie raniłi.

Po szesnastu dniach naszej bytności w okopach pierwszej linii—nocą przeszliśmy nad kanał Aisne na odpoczynek.

W ziemiankach nad kanałem mieliśmy bardzo dużo zajęcia z przyprowadzeniem rzeczy naszych do porządku.

Wszystko poczynając od butów, a kończąc na karabinach wymagało starannego czyszczenia. Czas jednak scho-
dził nam dosyć szybko. Po sześciu dniach odpoczynku wróciliśmy do okopów Prunay.

Ten pobyt w okopach mniej był dla nas szczęśliwy.

Pewnego popołudnia Niemcy, zaczęli wprost zarzucać okopy nasze różnego kalibru pociskami.

Jeden z większych pocisków trafił w grupę żołnierzy; wszyscy z nich otrzymali dosyć ciężkie rany. Ranni przez kilka chwil zostawali bez pomocy, ciągle bowiem nadlatujące pociski utrudniały ratunek.

Młody sierżant czwartej sekcji, który przez kilka minut leżał nieprzytomny we krwi zerwał się i począł krzy-
czeć "Vive la France".

Twarz sierżanta była zupełnie niewidoczną, zerwana skóra z czoła i części twarzy, czerwona, krwawiąca zwisała aż na szyję.

Gdy go prowadzono na Markizę—śpiewał Marsyljankę.

Młody zaledwie dwudziestoletni ten bohater był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, dokąd wstąpił w 16 roku życia.

Mayac, nazwisko sierżanta, został przedstawiony przez kapitana naszego do medalu wojkowego.

Trzech pozostałych rannych również odprowadzono na posterunek opatrunkowy do piwnic Markizy skąd nocą zostali odesłani do szpitala.

Wypadek powyższy przygnębił nas i pociski zaczęły robić na nas wrażenie, tembardziej że rannych było z każdym dniem więcej.

Do zwykłych naszych zajęć przybyła nam nocna praca zakładania drutów kolczastych przed okopami.

Wyjście z okopów, głównie pierwsze, robi wrażenie, jakgdyby odarcia jednostki z jego pewności siebie, pozbawienie go siły. Wyrabia jednak w młodym żołnierzu rezygnację, która jest niezbędną na wojnie.

Do okopów naszych przyzwyczailiśmy się do tego stopnia, że często w nocy zatrzymani przez wartowników drwiliśmy z ich gorliwości.

Podług regulaminu, gdy wartownik słyszy krok powinien krzyknąć „Halte-lal“, a po chwili „Qui vive?“ Jeśli nadchodzący nie odzywa się, wartownik jeszcze raz pyta pełnym głosem „Qui vive?“ „Halte-la“, gdy jednak i za drugim razem zostaje bez odpowiedzi—nabija karabin przytem grozi, że będzie strzelał.

Gdy jednak nachodzący na pytanie „Qui vive?“ odpowie — wtedy wartownik woła: „Avance au rallignement“, trzymając bagnet na wysokości ludzkiej piersi.

Obcy zbliża się na długość karabinu z bagnetem skąd szeptem mówi wartownikowi hasło. Wtedy tylko zostaje przepuszczanym. Hasło zmienia się codziennie.

U nas jednak odbywała się cała ta ceremonia po domowemu.

Gdy stojący na warcie zatrzymował głośnym „Halte-la“, odpowiadano mu przeważnie: „Idź do djabła“, albo jak u drzwi kolegi „Cicho—to ja Janek!“

Z całą jednak surowością zatrzymywaliśmy władzę naszą, która musiała się długo legitymować, zanim została przepuszczona.

Wogóle ze względu na życie się wspólne wszystkich, zmiana warty odbywała się aż nadto prosto. Przychodziło się na posterunek i do schodzących żołnierzy-kolegów mówiło się „No idźcie spać!“

Podług regulaminu zmiana warty jest bardziej skomplikowaną. Zmiana jak również schodzący z posterunku prezentują broń, powierzają hasło, mówią „consigne“ to znaczy polecenie czego i jak należy strzec, prócz tego ustępujący powinni opowiedzieć wszystko co podczas ich czuwania zauważyli, widzieli.

„Patrz, tam na lewo, tam się coś czerni!“ Powiedziano czasem, przeważnie jednak: „Było zupełnie cicho i nic nie widać“.

Okopy Prynay stały się takim polskim kątem na froncie francuskim, gdzie język słyszało się tylko polski.

Pewnego wieczoru rozniosła się pogłoska, że mamy atakować, że atak się zacznie o jedenastej przed północą. Jakież było nasze zdziwienie, gdy o godzinie jedenastej i pół kazano nam zająć miejsca u okien strzelniczych, dziwiliśmy się tembardziej, że kazano nam wyjść bez broni.

Dopiero gdyśmy wszyscy już stali na swoich miejscach — kapitan powiadomił nas o przyczynie.

Na dany znak poczęliśmy nieludzko krzycheć chórem — „Vive la France! la bas les Boches!”, poczem zaczęliśmy śpiewać Marsyljanę. Krzyki te, wyraźniej darcia się w niebogłosy były urządzone na cześć rosyjskiego zwycięstwa pod Mławą.

Wykrzykiwaliśmy tak dobre pół godziny, od czego ochrypliśmy zupełnie.

Jednocześnie z nami krzyczano na całym froncie przy akompaniamencie ciężkich baterii francuskich.

O północy rozchodziliśmy się po swoich norach.

Manifestacye nasze wydały nam się jakąś dziecinną zabawą lub przekomarzeniem się w rodzaju: „Już ci jedno oko podbiłem, chodź, chodź, to ci i drugie podbije”.

„Atak” był jednym słowem nieszkodliwy.

Następne dni mijały spokojnie — przerywało je jedynie popołudniowe bombardowanie.

Dwutygodniowy pobyt nasz w okopach skończył się wymaszerowaniem kompanii do małego, pięknie położonego miasteczka Verzonay.

W Verzonay umieszczono nas w domach wielkich winnic. Domy te przeznaczone dla robotników zbierających winne grona, posiadały wszelki oddawna niewidziany przez nas komfort mianowicie:

Sale były tak wysokie, że nie potrzeba było się nachylać, ani wchodząc, ani wychodząc — przeciwnie, można było stać, chodzić zupełnie wyprostowanym.

Po za tem w całym domu były okna z szybami.

Do spania były specjalne nary ze świeżą słomą.

Na podwórzu była wielka studnia. Jednem słowem było wszystko o czem może zamarzyć żołnierz po kilkotygodniowym pobycie w okopach.

Z jaką niewypowiedzianą rozkoszą zdejmowaliśmy ciężkie żołnierskie buty pierwszy raz po kilku tygodniach, bezprześcannego w nich pozostawiania!

Gdyby nas nie obudzono spalibyśmy ze trzy doby bez przerwy.

Odpoczynek nasz jednak nie zapowiadał się w części tak pięknie, jak sądziliśmy. O godzinie ósmej rano zapowiedziano nam rewję karabinów przez szefa sekcji. Przegląd wyznaczono na godz. trzecią po południu. Karabin musiał być zupełnie rozebrany, każda najmniejsza część jego wyczyszczona i ułożona na płótnie od namiotu.

Wyczyszczenie karabinu systemu Lebela, ze względu na skomplikowany mechanizm i magazyn jest dosyć trudne i uciążliwe. Cały ranek siedząc na narach czyściliśmy części karabinu.



Widok z Verzonay

Od godziny 2 p. p. układaliśmy każdy na swoim legowisku błyszczące części karabinu.

„Garde a Vous!” rozległ się głos sierżanta, oznajmiająca wejście adjutanta mającego robić przegląd.

Adjutant szybko obszedł salę tu i owdzie spojrzął — nie chwalił, nie ganił — wyszedł.

Inaczej się rzecz miała gdyśmy usłyszeli głośno: „A vos rangs fix!” *) poczem ujrzelśmy naszego sta-

*) A vos rangs-fix! Znaczy: Na miejsce — nieruchomo! Powyższe słowa krzyczy się przy wejściu t. zw. starszego oficera — wszyscy wówczas obnażają głowy.

ruszka — kapitana. Zdjęliśmy czapki — staliśmy nieruchomo.

„Repos“ *) rzucił kapitan, poczem zabrał się do oglądania broni. Staruszek robił przegląd z widoczną lubością, każdy szczegół kilkakrotnie obracał mruczając coś pod nosem. Rzadko chwalił, zadowolenia swego wogóle staruszek nie lubił pokazywać.

Biada natomiast, gdy znalazł coś nie w porządku, złościł się, często powtarzając: „karabin dla żołnierza — to wszystko, to jego żona, kochanka, wszystko — trzeba to zrozumieć, wiedzieć i dbać, dbać!“

Stary kapitan miał zwyczaj często spotykany u ludzi starszych, powtarzania kilka razy słowa, a to może dla podkreślenia go, mocniejszego wbicia w pamięć słuchającego. Gdy czasem winny niebacznie coś odpowiedział — staruszek odchodząc twarz krzywił mówiąc: „Mais taisez Vous!“ (Ależ milczcie!) Gdy kapitan wyszedł wszyscy odetchnęli swobodniej.

Po przeglądzie zaczęto się przygotowywać do wyjścia i popatrzenia na cywilnych. Cywilny dla nas był rzadkością, czemś zapomnianym, odgrzebanym z pod kurzu nie człowiekiem.

Po piątej wyszliśmy do miasteczka.

Przeważającą ilość mieszkańców Verzonay stanowili żołnierze. Ci albo przesiadywali w kawiarniach, albo włóczyli się po ulicach bez żadnego określonego celu. Właściwie nie wiadomo było jak wyzyskać czas wolny od piątej do dziewiątej wieczorem.

O dziewiątej wszyscy musieli już być w koszarach na apelu.

Dyżurny sierżant wchodził na salę.

„Silence a 'appel“ krzyczał towarzyszący mu kapral.

*) Odpoczynek.

Szefowie escouade kolejno podchodzili do sierżanta raportując: „Toat le monde present!” (Wszyscy obecni). Po apelu jeszcze godzinę dokazywano, śpiewano chórem. O godzinie dziesiątej gaszono światło. Nazajutrz rano sierżant oznajmił nam, że o trzeciej popołudniu odbędzie się przegląd ubrania przez kapitana. Wszystko ma być wyczyszczone, zreparowane. Znów więc cały dzień czyszczenia, trzepania, szycia. A o trzeciej prezentowanie się przodem, tyłem, przed uważnie oglądającymi oczyma kapitana.

O piątej rewja butów, które trzeba było wyczyścić wewnątrz i zewnątrz, poczem natrzeć specjalnym tłuszczem.

Dziwię się kapitanowi, który bez zmęczenia szczegółowo oglądał wszystkie części garderoby dwustu pięćdziesięciu żołnierzy.

Na trzeci dzień naszego pobytu w Verzonay odbył się ogląd „revue de details” drobiazgów, t. j. żywność zapasową, bielizna, piętnaście paczek nabojów, gamele, paski, bidony *), torby, ładownice i t. p.

Brakujące rzeczy kompletowano w magazynie, co nie obchodziło się bez narzekania starsuszka. Na czwarty i piąty dzień nasz w miasteczku zapowiedziano w raporcie dwa nocne marsze wojskowe.

O godzinie dziesiątej wieczorem wyprowadzono kampanję naszą na trzydziestokilometrowe marsze. Co godzina drogi odpoczywaliśmy dziesięć minut. Górzysty teren, a przytem noc kazały nam przeklinać nie tylko marsz, ale cały nasz „odpoczynek”, który był jednym wielkim zmęczeniem. Stokroć razy czuliśmy się lepiej w okopach Prunay, niż zdała od frontu w mieście.

*) Bidon blaszana, butelka żołnierska, obszyta granatowem suk-nem.

Siódmego dnia maszerowaliśmy do znajomych nam już nor nad kanałem.

Nad kanałem coprawda nie wiele mieliśmy ciągłej pracy, za to mieliśmy ustawiczne rassemblement *) sekcji... Dla zamiecenia drogi przed ziemiankami — rassemblement, dla przyniesienia wody — rassemblement, przyniesienia drzewa — rassemblement. Jednym słowem, nie było możliwości napisania listu, zaczęcia rozmowy, by jakieś nowe rassemblement nie kazało nam przerwać zaczętej pracy w najciekawszym miejscu i ustawiać się w dwurząd. Jak bardzo cieszyliśmy się, kiedy nocą powracaliśmy do znanych ziemianek w okopach.

Wiedzieliśmy, że tu nie będzie żadnych rewii, ani marszów. Okopy posiadały dla nas jeszcze pewien urok wojenny, którego stanowczo nie znajdowaliśmy w przygnębiających nas norach nad kanałem.

Parę słów o naszym wzajemnym stosunku koleżeńskim. Dla każdego z kolegów kompanja polska była czemś bliższym, świętem, doskonałem. Na kompanję polską nie wolno było, ani powiedzieć nic złego, ani popatrzeć źle obcemu.

O doskonałości kompanii naszej byliśmy najzupełniej przekonani i niezachwianie w nią wierzyliśmy.

Cała ta garść polaków była, jakby otoczona żelaznym kręgiem naszej miłości narodowej.

Wewnątrz tego kręgu wszystko już miało charakter osobny tylko i wyłącznie nasz. Drobne, czy poważne zażargi momentalnie cichły, gdy ktoś obcy próbował się wnieść, lub sądzić.

Prócz tego dzieliliśmy się na grupy przypadkowo stworzone przez podział na sekcyje escouade'y.

*) Rassemblement — ustawianie się w dwurząd dla wysłuchania rozkazów, raportu, lub rozkazu imiennego.

Każda poszczególna sekcya polska była w jej oczach lepszą od innej, dalej — każda esconade wyżej stojąca pod każdym względem od pozostałych.

Najciaśniej związani przyjaźnią byli zwykle mieszkańcy jednej ziemianki. O lepszy kąsek mięsa dla kolegów z wspólnego lochu walczono zawzięcie. Tak było ze wszystkim.

Ciekawem było życie nasze w ziemiankach, głównie noc, która była czemś, o czym ludzie przeciętni nie mają wyobrażenia i pojęcia.

Noce nie zajęte wartą, często bardzo mieliśmy zupełnie wolne zaraz po przyniesieniu żywności do magazynu w czerwonym domu.

Od godz. jedenastej zabieraliśmy się do snu.

Po wypaleniu papierosów, gawędzie na temat wypadków dnia, kolega w głębi układał się pierwszy ma się rozumieć na jakiś umówiony z góry bok, potem następny, aż do ostatniego, t. j. tego, który leżał przy wejściu.

Gdy już wszyscy leżeli, gaszono świece i prawie momentalnie razem zasypiano. I mimo ciasnotę, częstokroć chłód, lub wpadający z zewnątrz deszcz, spano by noc całą bez przebudzenia, gdyby nie wszy.

Niezwalczoną plagą, plagą doprowadzającą nas do rozpaczy, były insekty.

Gdy jeden z wrażliwszych kolegów wykonał jakiś gwałtowny ruch, wywołany swędzeniem nie dowytrzymał, ma się rozumieć, budził wszystkich.

Przebudzeni siadali i przy zapalonej świecy zaczęło się polowanie.

Po względnem zaspokojeniu swych zbrodniczych pragnień, wypaleniu papierosów okładano się na nowo. Czasem podczas nocy polowanie odbywało się kilka razy. Dochodziło do tego, że przed snem wszyscy przyrzekali nie

poruszyć się, „żeby tam nie wiem co!“... „nie wiem jak!“

Nie zawsze jednak dotrzymano przyrzeczenia.

Bywały omyłki, że ktoś w rozdrażnieniu i swoim rozpędzie myśliwskim polował nie na swoim terytorium. Żywe protesty właściciela w ciasnym ciemnym lochu sięgały często najniewinniejszych dalej leżących kolegów.

Zauważyłem, że żołnierz w okopach, prawie nigdy nie siedzi. Rzadko chodzi, wiele stoi, resztę leży. Nizkie lochy nie pozwalają na względne choć wyprostowanie się podczas siedzenia, co męczy i bynajmniej nie jest odpoczynkiem. Stąd, gdy się raz weszło do ziemianki, natychmiast się układano.

Po paru tygodniach pobytu w okopach Prunay spytano, kto chce z nas pójść w nocy na ochotnika, na patrol. Patrol ma na celu obejście całej przestrzeni między okopami i sprawdzenia, czy nieprzyjaciel nie zamierza jakiejś niebezpiecznej dla naszych okopów pracy.

Patrole są także po to, by podczas swej nocnej wycieczki schwytać i żywym przyprowadzić jeńca, od którego można by było zasięgnąć języka.

Ochotników znalazło się za dużo. O godzinie dziesiątej w nocy kilkunastu wolontaryuszów bez szyneli z nałożonymi na karabin bagnietami przechodzili wąską, tajemną ścieżkę między drutami w stronę okopów niemieckich.

Warta została uprzedzona, że wyszedł patrol i strzelać nie wolno. Pozostali w okopach koledzy wyobrażali sobie, że uczestnicy nocnej wycieczki napewno wrócą nie wszyscy, jak byli wyszli z okopów.

Po północy jednak cali i zdrowi schodzili na poste d'econta do wąskiego głębokiego rowu wszyscy uczestnicy nocnej wyprawy. Oprócz patroli co noc dwie

esconade'y wychodzili na t. zw. embuscade'ę *). Kilkunastu żołnierzy podchodziło blisko linii nieprzyjaciela i tam kryjąc się albo w brudzie, albo za czymś leżeli od 3—5 godzin.

Miejscem zwykłym dla naszych zasadzek były od dawna leżące na pół już zgnite snopki owsa.

Leżąc za nimi czasem podczas deszczu i śniegu przez kilka godzin zrzędu wypatrywaliśmy sylwet w pikielhaubach, które jednak nie zawsze się ukazywały na horyzoncie. Podczas jednej z embuscade leżąc za znanymi nam już snopkami owsa zobaczyłem szeroki promień światła idący z za okopów niemieckich. Po chwili długi szeroki promień, błyskawicznie upadł na ziemię, po której zaczął wolno równo pełzać.

Doszedł do snopków jedyne go naszego ukrycia, przebiegł dalej, wrócił i zaczął drzeć jakby radośnie trzymając nas w swoim ślepiącym świetle. Miałem wrażenie, że jestem złapany na gorącej przewinie. Całą wiarę i nadzieję kładłem w te wątle obojętne na mój lęk snopki, które jakby rade światłu rozżłoczyły każdą wilgotną słomkę blaskiem i zadowoleniem.

Po krótkiej chwili, która jednak, aż nadto się dłużyła, promień świetlny znikł. Posypały się strzały. Przywarliśmy zupełnie do ziemi, twarze wtuliliśmy w wilgotną, miękką ziemię.

Słyszałem parę razy, przelatującą nad głową kulę, która zatrzymywała się nad snopkiem, tylko chyba dla rzucenia w nadsluchujące ucho moje „tssynk“.

Szereg salw niemieckich nikogo w rezultacie nie ranił, srodze natomiast nastraszył.

Głównie nabawił nas lęku reflektor.

*) Embuscade — zasadzka — czas: embusquer — kryć, czać się, być ukrytym za czymś.

Rezultatem codziennych zasadzek był jeniec „Szlązak-Polak”. Byłby zapewne wszedł nam na głowy, gdyby nie sierżant, który głośnym szeptem skomenderował „chargez” nabijcie broń (raczej z magazynu lub łożyska wprowadzić kule do lufy).

Kilkanaście pod komendą poruszonych zamków stąd dosyć głośny chrzęst nastraszyły niebywalej wprost wielkości polskiego chłopca z armii niemieckiej. Rzucił karabin, ręce wzniosł do góry i poddał się. Słyszac wkolo siebie polską rozmowę zupełnie szczerze nas spytał:

„Czy daleko Warszawa i że go... psiekrwie oszukali, bo mówili, że on na Francuzów idzie”.

Jako jeden z najlepszych strzelców kompanii naszej zostałem wybrany wraz z innymi trzema kolegami na punkt obserwacyjny.

Codziennie o 6-iej rano zaopatrzeni w wielką lunetę zajmowaliśmy miejsca na poste-decoule.

Czynność nasza polegała na tem, by do każdego niebacznie, czy umyślnie wychylającego się Niemca strzelać.

Jeden z nas patrzył przez lunetę wzdłuż okopów niemieckich. Gdy dostrzegł wystawioną ponad nasyp głowę lub korpus Niemca, dokładnie określał nam punkt, do którego salwą strzelaliśmy. Często po strzale obserwujący mówił z zadowoleniem.

„Złeciał!” Na ile jednak było to prawdą, trudno się było przekonać. Na tym posterunku zostaliśmy po trzy-nastu godzin na dobę, co jednak zupełnie nas nie męczyło — przeciwnie pozwalało w nocy spać spokojnie do rana.

Samo stanie na punkcie obserwacyjnym było bardzo przyjemne i rozmaite.

Znudzeni czasem próżnem wypatrywaniem, strzelaliśmy do królików lub kuropatw.

Zabite — nocą przynosiliśmy do okopów.

Podczas tego właśnie okresu naszego pobytu w okopach, z ziemianką w której mieszkałem stał się spodziewany, groźny, w skutkach bardzo jednak szczęśliwie przeszły wypadek.

Współlokatorami moimi byli: S. Szejnkeller, W. Liszewski, Dobrowolski, Trzebiatowski, Wiweger. Wszyscy wyżej wymieniani, jako żołnierze jednej esconade'y w nocy pracowali nad kopaniem nowych okopów, podchodzących bliżej linii nieprzyjaciela. Nad ranem wrócili do ziemianki, gdzie po pewnej chwili zmęczeni zasnęli. O godzinie ósmej bez żadnego widocznego powodu wszyscy się obudzili i zaczęli gwarzyć.

Rozległ się świst i nieopodal ziemianki uderzył pocisk niemiecki. Bez żadnej wyłomaczonej, ze względu na codzienne bombardowanie przyczyny, najgłębiej siedzący Wiweger wyskoczył z ziemianki do okopu, za nim nie zdając sobie sprawy dlaczego wybiegła reszta kolegów. Zaledwie zdążył wybiedz ostatni, gdy mieszkanie nasze zostało zavalone pociskiem trafiającym w sam środek ziemianki.

Opatrzność! Przeczucie!?

Pod ziemią załamanymi deskami, znaleziono rzeczy nasze: karabiny, szynel, tornistry doszczętnie porwanymi. Jak się wyraził sierżant: wystarczyłoby, gdyby nie wyszli postawić krzyż na wierzchu zavalonej ziemianki i przejść do porządku dziennego.

Nie wiem, jak żałowałby kapitan zabitych wołontaryusz, smutek jego po poszarpanych tornistrach i połamanych karabinach był wielki. Cudownie ocaleni powtarzali: „No teraz nas już djabli nie wezmą!”

Pod wieczór jednego z pierwszych dni wletrzej i slotnej zimy do pułkownika zostali wezwani L. Malcz

i Władysław Szujski. Wezwanie przez władzę naszego chorążego i sierżanta zdziwiło nas.

Z niecierpliwością też czekaliśmy ich powrotu z fermy Esperance, gdzie mieszkał nasz pułkownik Pain.

Po rozradowanych nieco tajemniczych minach powracających poznaliśmy, że chodzi tu o coś bardzo dobrego, jednocześnie dla nas ważnego.

Malcz objaśnił nam, że naprzeciw sąsiednich nam okopów znajduje się kompanja niemiecka, większą część której jednak stanowią Polacy.

Zostaliśmy powołani do wykonania specjalnej misji mianowicie: pójścia do sąsiednich odległych o kilkanaście kilometrów okopów, gdzie mieliśmy jakim by to nie było sposobem poinformować będących we wrogiej armii Polaków, o naszej naprzeciw ich kul i pocisków wystawionej garstce.

Połowa pierwszej sekcji pod dowództwem Malcza ze sztandarem ruszyła nocą witać pieśnią i Białym znakiem „polaków-wrogów“.

Nocą cichym zgodnym chórem zaczęto śpiewać: „Boże coś Polskę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Żaden żywy głos nam nie odpowiedział.

Wszystko jeno bardziej ścisło, słuchać poczęło, zamysliło się.

Strzały coraz rzadsze, rzadsze, aż zmiłkły karabiny niemieckie w rękach polskich. Cicho było. Zastuchało się serce polskie. Po ziemi szła pieśń polska wierna, żyjąca.

Nie strzelano prawie wcale, kiedy skulona, jakby znużona uchodziła z pól reszta nocy.

Ponad nasypami niemieckich okopów ukazały się głowy ludzkie. Nie strzelano.

Po porozumieniu się z oficerem niemieckim, postanowiono przez pewien czas nie strzelać w celu obustron-

tego zajęcia się uprzątnięciem leżących między okopami trupów.

Powychodzono z okopów. W nasyp wetknięty sztandar nasz wyłonił z purpurowego tła Białego Orła. Z piersi polaków wyrwała się pieśń. Zaczęto wołać: „Polacy, chodźcie do nas“. „My tu pod swoim walczymy znakiem“. Na nasze jednak wołania poczęto odpowiadać lękliwie, ponieważ z niewiarą. Cały dzień zszedł na rozmowie. Sądziliśmy, że znajdują się Polacy, którzy przejdą nocą do naszych okopów. Z wieczora już wychodzono między okopy bez karabinów — czekano, pełzano, aż do drutów niemieckich — próżno.

Martwa bezwzględna cisza.

Rankiem znów zabrzmiała pieśń polska — już jej jednak nie słuchano, z tamtej strony.

Posypały się kule, salwa za salwą szła przy ziemi zła, sycząca.

Szarpany nadlatującymi kulami wstrząsał się Biały Ptak.

Na nasypie stanął Szujski, nie zdążył wyrwać sztandaru, gdy razem z nim wpadł martwy do okopu. Kula zerwała mu całą górną część czaszki. Długie, niewstrzymane łzy płynęły z oczu Malcza, zamigotały mściwym błyskiem poprzez mgłę żalu w oczach francuskiego oficera.

Sztandar wręczono Janowi Sobańskiemu, jako najstarszemu z obecnych *).

*) Z przykrością czytałem wiersz napisany na cześć Władysława Szujskiego, w którym autor przytacza nazwisko jakiegoś ciemnego indywiduum, który z bezczelnością opowiadał, jakoby podczas jakiegoś ataku wziął z rąk konającego Szujskiego sztandar nasz. Nie przypominam sobie nazwiska tego niezgrabnego w swoich niegodnych pomysłach osobnika, który nigdy między Bająńczykami nie był i o którym nikt z nas nie słyszał.

Później dopiero dowiedzieliśmy się, że nocą cała kampanja polska została zastąpiona niemiecką.

Nikt z nas nie śmiał podejrzewać, że Szujski padł z ręki polaka.

Misja nasza nie przeszła jednak bez skutków, które po kilku tygodniach stawały się coraz bardziej widocznymi. Kilkudziesięciu żołnierzy polaków przeszło ogółem na stronę francuską.

Władysław Szujski został pochowany nieopodal okopów. Na grobie złożono olbrzymią dębową deskę na której skrzyżowano polski i francuski sztandary. Napis brzmiał: Władysławowi Szujskiemu, chorążemu polskiemu, zabitemu na polu chwały we Francji.

Śmierć Szujskiego nie małe zrobiła wrażenie na naszej kampanii. Władza nasza poczęła jednak inaczej patrzeć na nas. Apelle wieczorne, jak wogóle wszystkie sprawdzania u nas przestały być praktykowanemi. Życie w okopach nie uległo żadnym zmianom — pracowaliśmy jeno dłużej. Zaczęte nocami okopy idące pionowo ku linii nieprzyjacielskiej coraz bardziej się zbliżały, do czarnego, tajemniczego lasku. Poste—d'e'conte wysunęliśmy naprzód o 300 metrów.

Ze względu na odległość jego od naszych ziemianek nocną wartę pełniły całe *esconade'y*. Ciężką pracą nocną było teraz dla nas kopanie podziemnych mieszkań. Dwa do trzech metrów pod ziemią lochy miały służyć mieszkaniem dla połowy sekcji.

Praca była nader ciężką ze względu na niemożliwość bezpośredniego wyrzucania ziemi, które trzeba było wy-

Szujski udziału w żadnym ataku nie brał. Zginął śmiercią bohatera — mimo grad kul i zupełnie pewne niebezpieczeństwo nie wahał się narazić dla ocalenia powierzonego mu sztandaru. Z rąk padającego Szujskiego sztandar wzięła legioniasta I sekcji polskiej Walter.

nosić na wierzch koszykami. Syzyfowa nocna ta praca dała bardzo mało widoczne rezultaty, co nie mogło się pomieścić w głowach naszej władzy.

Niemcy coraz bardziej zaczęli bombardować nasze okopy. Pewnego popołudnia na podziurawioną jak sito Markizę wyrzucili sto pięćdziesiąt pocisków wielkiego kalibru.

Wspomnianą ilością pocisków ranili pięciu legionistów, z naszej kompanii ranny został Jan Rotwand, który jako furazer zostawał w magazynie kompanii na Markizie.



Jan hr. Sobański.

Piwnice jednak samego budynku nie zostały uszkodzone tak że poste de secoure został na miejscu, jak również kwatery komendanta i magazyny.

Zima schodziła stopniowo. Najbardziej dawały się we znaki ciemne nieprzejrzane noce. Częstokroć o dwa kroki

nie dostrzegało się w okopach naprzeciw idących kolegów. Warty wymagały niebywałego czuwania, wszystko stawało się bardziej męczącym, wyczerpującym. Mieszkania nasze pod ziemią nie były jeszcze skończone, wiele z ziemianek pozapadało się. Trzeba było myśleć o zbudowaniu sobie jakiegoś mieszkania. Podzieleni na małe grupy po czterech, pięciu, zaczęliśmy kopać podziemne loszki. Ja z kolegami: Rurygiem, Szejnhellerem i Wiwegerem, bez przerwy kopaliśmy sobie podziemny loch w ciągu 60 godzin. Nie śpiąc, gdyż nie było gdzie, kopaliśmy cały dzień upadając formalnie ze znużenia na twarze.

Wykopaną ziemię — nocą wyrzucaliśmy z chodnika za nasypy. Pod koniec trzeciej doby, kiedy żaden z nas nie był w stanie się poruszyć, pokładliśmy się na wilgotnym kredowym gruzie. Po przespaniu kilkunastu godzin wezwano nas na wartę.

Ani jeden z nas nie mógł się poruszyć. Ciało jakby wrosło w ziemię ciężkie, obolałe. Sprowadzony doktor stwierdził, że wszyscy mają pewien rodzaj influenzy. Najsilniejszym z nas okazał się kolega Wiweger, który po odleżeniu doby wstał i nawet objął wartę.

W wykopanym przez nas lochu, który z każdym dniem poprawiany i ulepszany wyglądał jak mały pokój, cprawda cokolwiek za niski—czuliśmy się świetnie. Żadne bombardowanie nas nie przestraszało, najspokojniej w świecie w wolnych chwilach graliśmy w karty, pisaliśmy listy.

Wolną chwilą w okopach nazywały się nie tylko niezajęta przez wartę lub pracę godzina, ale też chwila poza łapaniem insektów.

Polowania zajmowały nam większą część odpoczynku. Pomysły nasze w celu wytępienia nieznośnego robactwa były naprawdę nadzwyczajne. Poza znanymi środkami używaliśmy takich jak: zdejmowano bieliznę, którą z początku zbito kolbą karabinu: poczem bombardowano już

i tak zmaltretowaną, ciężkimi kamieniami, drugim środkiem było zalewanie stearyną, każdego z oddzielną insekta — ten środek wymagał wiele cierpliwości — więcej jeszcze czasu. Wszystko jednak nie pomagało, było tylko ćwierć środkiem.

Robactwo było wszędzie: w słomie, w szwach ubrania, bielizny, w tornistrach. Drapano się do ran. Między innymi kolega Suzin został wysłany do szpitala jedynie z powodu ran na ciele od drapania się. Nieznośna pogoda z zawiejami, deszczami, insekty, praca nad siły szarpnęły nasze nerwy, potrzebowaliśmy czegoś silnego, jakiegoś wrażenia, które by nas wyrwało z dziwnej rezygnacji jednocześnie apatyi.

Kiedy pewnej nocy zbudzono nas alarmującymi krzykami: „do bronii!“ byliśmy zadowoleni z możliwości narażenia się na pewniejsze niż zwykle niebezpieczeństwo.

Całe, lewe skrzydło naszego secteur'u ginęło w dymie pękających pocisków. Jasne magnezyowe światło bombek świetlnych to gasło, to zapalało się. Bulgotały mitraljczy. Coś się w dali kłębiło, gotowało.

Staliśmy gotowi zapatrzeni w sine zwały kłębiącego się po ziemi dymu. Deszcz z wiatrem smagał nam twarze, ręce, gwizdał na lufach wystawionych karabinów.

Zaczęło ścichać, strzały coraz rzadsze.

W kilkuminutowych już tylko przerwach drżały bombki świetlne. Głucha ciemność karała ciszą. Zawiedzeni, zmoknięci wracaliśmy do swoich lochów podziemnych.

Późniejsze alarmy nocne nie robiły już na nas wrażenia, złościły raczej.

Pamiętam, gdy na głośnie krzyki sierżantów „aux armes“ szedłem jak inni spokojnie, jak gdyby na spacer. Widok mój widać rozgniewał adjutanta, który zgorszony poczęł mi krzyczeć nad uchem:

„Jesteśmy atakowani, a pan jak nigdy nic pali sobie fajkę i idzie, jak do kościoła!“

— No, ktoby nas tam atakował—pomyślałem.

No i na szczęście miałem rację. Niemcom przyszła wi-
dać jakaś fantazja ostrzelania nas—co ani im pożytku, nam
szkody nie przyniosło—tę chyba, że nas zbudzili.

Z stopniowo wzrastającym nerwowem rozdrażnieniem
zacieśniał się krąg przyjaźni. Przyjaźń przechodziła w jakieś
chorobliwe wprost uczucie wszystkiego co nasze, co pol-
skie. Nie pozwalaliśmy na najmniejszą choćby obrazę kole-
gi — jednocześnie uważaliśmy by który z nas nie zrobił
czegoś uwłaczającego naszej polskiej opinii. Długie godzi-
ny warty nocnej podczas całymi tygodniami padających
deszczów, były miejscem i chwilami spowiedzi. W bez-
względnej mimo strzały, ciszy szeptało się całe życie swoje
bez zatajenia najmniejszego szczegółu. Czasem razem
zwestchnieniem rozplywały się w ciszy, ulatywały kędyś
w mrok wypowiedziane marzenia.

„Gdyby tak mózż na jedną choć godzinę wpaść do
nas—przebiez ulice Warszawy, spojrzeć na wszystkich,
wszystko i wrócić, wrócić na ten sam poste-d'èonte—ciem-
ny w czystym polu dół“.

Jak mgła, wyją pola, ulatające westchnienia.

Długie w zamyśleniu milczenie. Dwie ciemne, stojące,
prawie że bez ruchu sylwety, opasują jakieś miękie, nie-
widzialne ręce i cisną powoli, łagodnie, gdyby do dobrych
matczynych piersi.

I tak co noc, co dwie godziny zmiany warty...

A na cmentarzu przed ślepą Markizą coraz więcej mo-
gił, coraz gęściej drewnianych niezgrabnych krzyżów.

Dziwne pogrzeby.

Noc już. Nad wykopanym dołem wkrąg stojący żołnie-
rze, w ich rękach karabiny—jeno lufy ku ziemi.

Pogrzeb kolegi z trzeciej kompanii. Parę godzin temu
szedł jakby na spotkanie wielkiego pocisku, który go
w pierś uderzył. Ciało porwał, rozniósł.

„Zwłoki“ złożone w małym płuciennym worku — wszystko co zebrano.

Włoką się dnie trudne, ciężkie, jakiegoś dziwnego czekania pełne.

Obiad. Z brudnych niemytych blaszank wyłapywanie kawałków mięsa, wychłapywanie zupy.

Nieostrożny kolega Swirski stoi z gamelą naprzeciw cre'nau *)—nie doniósł łyżki do ust—krzyknął — kula przeszła mu ramię... Wypadek coraz pospolitszy — ot stracona porcja zupy!..

Znów nad kanałem Aisne, znów t. zw. odpoczynek — tym razem jednak mniej, niż zwykle jest on odpoczynkiem. Co wieczór, za ledwie gęsty mrok spełźnie, idzie kompanja nasza w jakieś tajemnicze miejsce z łopatami, kilofami i karabinami.

Po dwugodzinnej drodze przez gęste przejść nie dające zarośla, trzęsawiska, rowy dochodziliśmy do okopów. Przechodzimy kilkaset metrów wzdłuż nasypów, wychodzimy na powierzchnię. Otrzymujemy szeptem rozkaz kopania okopów. Kule przelatują górą, nad naszymi głowami, słychać tylko ich syk.

Kopiemy zawzięcie dla rozgrzania się — chłodna wilgotna zimowa noc wkrada się pod szynel, ziębi ciało.

Od czasu do czasu w górze zapala się bombka świetlna — przypadamy do ziemi.

Jasne niebieskawe światło drży, migoce, gaśnie — do pracy.

Rassemblement — godzina druga po północy, wracamy do ziemianek.

*) Cre'nau — otwór, okienko w okopach przez które się strzela.

Leżąc podczas ostatniego przed snem papierosa pytamy się wzajemnie, czy nas nie już innego nie czeka tylko ta wyczerpująca praca, te obsługiwane wszystkich?



Na „repic“.

Coś się w nas zaczyna buntować, coś mówi, krzyczy poprzez naciągnięte nerwy, że przecież myśmy tu nie po to przyszli? Szereg jednoznacznych pytań milknie, gdy któryś

z trzeźwiejszych kolegów rzuci nie przekonywające wewnętrznie, ale kryjące rację: „Trudno podpisać zobowiązanie—musisz być jak kuchta „do wszystkiego“.

I naprawdę myśmy byli do wszystkiego. W raportach czytano nam ciągle pochwały, zdawano, jako nagrodę — porcję wina.

Wszystko to jednak nie było tem, czego wymagała nasza wyobraźnia—wszystko łącznie z pochwałami tylko nas nużyło.

I nie tylko myśmy byli znużeni, walczący z nerwami, ale i wszystka władza nasza.

Poczynając od sierżantów, aż do starszka kapitana wi- dać było zniecierpliwienie i rozdrażnienie.

Ogólny stan ten bywał przyczyną ostrych scysji, nieporozumień. Wolontarjusze odnosili się do władzy nieufnie—władza podejrzliwie.

Sierżanta Frankena Niemca poczęto podejrzewać o szpiegostwo.

Nastrój ogólny był podobny do wstrętnej pogody.

Zima w Szampanii coś z naszego polskiego marca, jest stokroć razy jednak gorsza. Całe tygodnie bez słońca, szara łzawa mgła i od czasu do czasu wiatr ze śniegiem, lub deszcz; wkoło nic do przebycia, chyba dla żołnierskich nóg błoto, wszystko to stwarzało dnie wprost nie do znie- sienia.

Stawało się coraz duszniej, coś gniozło, tłoczyło pierś.

Po trzech tygodniach pobytu nad kanałem i ciężkiej co noc pracy w ciemności, napotykając tu i owdzie trupa, często kopiąc w towarzystwie cuchnącego, rozkładającego się ciała—wróciliśmy do okopów.

Pobył w okopach ze względu na straszną pogodę nie zapowiadał się nadzwyczajnie. Po pięciogodzinnych zas- sadzkach, warcie — wracano do ziemianek drząc z zimna. Odzież, bielizna wszystko przemokniętę do ostatniej nitki.

Odpoczynek w strasznych warunkach po ciężkiej pracy, zasadzkach, warcie, stawał się chwilą, której się raczej bano, niż chciano.

Trudno by było zliczyć przekleństwa rzucone drżącymi poprzez dzwoniące zęby wargami w wilgotne ziemianki.

Zdawało się nam rzeczą niemożliwą przetrwanie w podobnych warunkach zimy. Pojawiły się choroby, świerzba i jakaś t. zw. transzowa egzema.

Kilku kolegów pokrytych ranami odesłano do szpitala.

Po kilkutygodniowym pobycie w okopach znów nad kanał na . . . odpoczynek.

„Słowo „repos“ (odpoczynek) nikogo nie cieszyło, przeciwnie wywoływało na usta wszystkich ironiczne uśmiechy.

O godzinie drugiej po północy wyczerpani zdaje się do ostatnich granic sił naszych, cłapaliśmy po lekkim błocie nad kanał.

Ziemianki nad kanałem zaczęły się walić — wewnątrz było tak mokro od przeciekającej przez dziurawy dach wody, że zaledwie po dwugodzinnem w nocy reparowaniu dachów, ułożyliśmy się do snu.

Do snu — nie wiem czy to był sen — takie przywarcie do mokrej ziemi, gdyby na śmierć.

Moim zdaniem odpoczynek należał się nam, potrzebnym był choćby dlatego, by mózgi przetrwać przyszłe ciężkie chwile.

O godzinie dziesiątej rano zbudzono nas. Jednak—zbudzono... do pracy. Można by było podejrzewać kapitana naszego o zemstę, o chęć dokuczenia nam, karę za jakieś winy—słyszac rozkaz jego.

W rozkazie dowódzca kompanii naszej polecił sierżantom wyznaczenia dla każdej escouade'y całodziennęj pracy polegającej na . . . wrywaniu na poły już zgniłych buraków. Niemało zdziwieni wolontariusze wzięli się jednak do tej tak niewojennej czynności. Wyciągano za mokre liście,

wielkie białe buraki, moknięto na deszczu aż do wieczora. Nie byliśmy jednak bardzo odpowiedni do tej pracy—gdyż o godzinie piątej wieczorem, zwykłej godzinie obiadu nie oczyszciliśmy wyznaczonej nam przestrzeni.

Kucharze wykrzykiwali swoje „Ec—po zupę!”

Nie przywiązując wielkiej wagi do ukończenia i rezultatów naszych agrarnych zajęć—zeszliśmy z pola na obiad.

Byliśmy jednak uderzeni w ciemność, widząc zaperzonego, krzyczącego kapitana. „Niema obiadu, niema, niema—nie skończyliście, niema obiadu. Kucharze! Zupę z powrotem—zjedzą kiedy skończą!”

Krzykiem i słowami kapitana byliśmy nie to dotknięci, ale kopnięci. Słyszane jeszcze w Bayonnie od różnych opo-
jów w Legii Cudzoziemskiej słowa: „że myśmy się angażowali dla talerza zupy” zostały już przez nas zupełnie zapomniane—tembardziej że w raportach dziennych powtarzano nam ciągle pochwały władzy wyższej. Teraz jednak nie mogliśmy pojąć słów i postępowania naszego kapitana.

Wróciliśmy na pole, skąd po godzinie zwolowały poczęli nas sierżanci na obiad.

Pracowaliśmy jednak do ósmej.

Ciemno już było zupełnie, gdyśmy wchodzili do ziemianek. Bez żadnej uprzedniej agitacji, umawiań się—nikt nie tknął obiadu.

Zupa, mięso później wino zostało u drzwi naszych lochów nieruszonemi.

„Les caporaux—sortez!” (Kaprale wyjdźcie) krzyczał kapitan.

Do zebranych kaprali — powtarzając każde słowo parę razy, rzucał pieniaący się kapitan.

„Musicie zmusić, zmusić żołnierzy do jedzenia, a jeśli nie zmusicie zerwę wam galony, bo nie jesteście ich godni nie jesteście, zdadni, nie zdadni...”

Kaprale jednogłównie poprosili o odebranie im kaprałskich oznak, dodając że sami nie będą jedli. „Rompez“ (rozejdźcie się) krzyknął kapitan.

Następny dzień przeszedł podobnie do przeszłego.

Pod wieczór trzeciego dnia naszej głodówki kapitan pojechał do pułkownika. Po powrocie kazał zgromadzić kompanję naszą na drodze przed ziemiankami.

Wiedzieliśmy, że pobyt kapitana u pułkownika Pain'a mógł wziąć obrót dobry dla nas—ponieważ mieliśmy zupełną sympatyę pułkownika, który wogóle, a bardziej jeszcze od śmierci Szujskiego, lubił i wyróżniał Polaków.

Ze łzami w oczach zaczął mówić do zebranych stary kapitan, mówił: „że jesteśmy dziećmi, których on nie znał, że bardzo często zasługujemy na surową karę, a jednak pozostajemy nieukaranymi; że raz jesteśmy wolontariuszami powinniśmy bez szemrania robić wszystko; że on zna żołnierzy, wie jak z nimi postępować, bo trzydzieści lat już jest w armii, że wreszcie możemy nie jeść i t. d. i t. d.“

Po przemowie kapitana zaniechaliśmy głodówki. Kapitan miał wiele racyi—nie mógł jednak stosować swej zasady, że żołnierz nigdy nie powinien zostawać beczynnymi.

Zasada kapitana Lobus'a mogła być bardzo rozumną i ze skutkiem stosowaną w bataljonach dyscyplinarnych, skąd do nas przybył.

Sposób patrzenia i doświadczenia starego kapitana, zupełnie natomiast nie znajdowało kąta między wolontariuszami, gdzie zapał i dobra li tylko wola, panowały, — kierowały.

Po zgodzie między nami, a kapitanem, stosunki stały się bardzo serdeczne, bliskie, staruszek stał się przez nas lubianym „tata“ (tak go później wolontariusze nazwali).

W wigilję Bożego Narodzenia wraz z kapitanem siedzieliśmy zgarbieni w niskich ziemiankach nad kanałem

pijąc na cześć przyszłego zwycięstwa Francyi, na cześć przyszłej niepodległej Polski.

O północy urządziliśmy kabaret. Śpiewano, deklamowano, bawiono się pierwszy raz, tak dobrze o pięć kilometrów od frontu.

Chór miał zakończyć nasze popisy, gdyśmy usłyszeli turkot mitraljez, grzmot armat.

Po drodze przed lochami, przejechał motocyklista, krzycząc „Aux armes!” W parę sekund gotowi do drogi i na wszystko staliśmy ustawieni w dwurząd, zanim jeszcze zdołała przybiedz nasza władza.

Gdy gotowy do drogi przyszedł kapitan widzieliśmy pierwszy raz prawdziwą nie dającą się ukryć radość w jego oczach.

Był przymrozek. Po skostniałej szerokiej drodze szły równo czwórki nasze krokiem pewnym, śmiałym. Kanonada, bulgotanie mitraljez nie ustawało.

Doszliśmy do ruin miasteczka Prunay.

Ukryci za sterczącymi martwo murami czekaliśmy znaku. Jak bardzo czekaliśmy rozkazu: „En avant” — jak chcieliśmy pokazać pociosmy się angażowali były dowodem nasze błyszczące niecierpliwe oczy, ściskające karabiny ręce.

Chęć naszą dojrzał kapitan, czuł ją w naszym kroku w niecierpliwem czekaniu słowa: naprzód.

Wtedy jednak nie było nam sądzonem pokazać czem jest nasza polska garstka. Atak Niemców został odepchnięty. Jak z pasterki wracaliśmy w mroźną noc wigilijną do mieszkań naszych nad zastygłym kanałem Aisne.

Święta Bożego Narodzenia przeszły spokojnie, wesoło — Niemcy już nie atakowali.

Nowy Rok spędziliśmy w okopach. O północy na granicy dwóch lat krwawej wojny była zupełna cisza, nie strzelano.

Obustronne milczenie trwało najwyżej dziesięć minut, po których Niemcy chcieli nas zaniepokoić. Wezwani „do broni” stanęliśmy od razu gotowi do spotkania napastników, którzy widać sądzili, że jesteśmy pijani i damy się wziąć łatwo i prędko. Przekonawszy się, że nietylko ich się nie lękamy, ale z radością kule nasze witać ich będą, uspokoiłi się na resztę Sylwestrowej nocy.

Po tygodniu względnej pogody znowu zaczęły padać deszcze, z nasypów do wewnątrz okopów staczały się grudki białej ziemi.

Zacząto mówić o jakimś dłuższym odpoczynku o wypełnieniu luk w ludziach bataljonu, przegładzie dokładniejszym całego pułku.

Po dłuższym niż zazwyczaj pobyciu na froncie w ciemną, śnieżną noc szliśmy do Bouzy-miasteczka odległego trzydzieści kilometrów od frontu. Wielu z nas ledwie wlokło nogi po zmokniętej glinie już po przejściu kilku kilometrów. Wiatr ze śniegiem i deszczem dał nam prosto w oczy, tam gdzie droga szła pod górę bataljon nasz rozciągał się w długą, nierównej grubości ciemną linię. Byłem tak zmęczony, że koledzy prowadzili mnie trzymając pod rękę. Gdy teraz wspominam ich dobroć zdaje mi się ona wprost w życiu niezrozumiałą, nieprawdopodobną. Jeden z kolegów litwin Batkiewicz sam zmęczony prawie że z radością dźwigał mój tornister, odpowiadając na moje pytania, czy mu nie ciężko: „Ależ nie—przeciwnie, tak wygodniej nawet—jest pewna równowaga”. Ładna równowaga dwa ciężkie pięćdziesięciofuntowe tornistry jeden na pierśsiach, drugi na plecach. Drogie wspomnienia z dziwnie czystego w treści swojej minionego. Zdaje mi się, że żadne uczucie ludzkie nie jest w stanie zostawić tak jasnej smugi i rozciągnąć jej na przyszłe dni życia, jak przyjaźń jakiej doznałem podczas pobytu mego w legionie. Wzajemne od-

czuwanie się było posunięte do takiej subtelności, że przypadkowe jej uzewnętrznienie kazało się nieraz rumienić.

Ręce gotowe do bezlitosnej walki do pławienia się we krwi, miały niepokalaną białość i miękość dla kolegów. Dwa na krańcach stojące uczucia spotęgowane do ostatnich granic wypełniały pustkę, która w życiu zwykłym bywa zajęta tysiącami drobnych uczuć, pragnień, zajęć.

W Bouzy pierwszą i drugą sekcję umieszczono na strychu niewielkiego domu.

Na dole mieszkały dwie rodziny winiarzy, z nich jedna polska. Pozostały we Francji od 70 roku emigrant Polak—niejaki Kamiński teraz spotkał się z Polakami ubranymi w francuskie czerwone kepi. Najbardziej ucieszył się gdy między legjonistami odnalazł Stanisława Kamińskiego kolegę naszego, który specjalnie z Ameryki przyjechał do Francji w celu wstąpienia do szeregu armii francuskiej.

W Bouzy dnie schodziły nam na ciągłych rewjach ubrań, karabinów, szczegółów.

Teraz dopiero, po względnym odpoczynku zaczęły jak po deszczu wychodzić choroby. Codziennie zrana przed domem, gdzie przyjmowali dwaj nasi lekarze, zbierały się tłumy słabych żołnierzy. Poważnie chorych odsyłano do szpitala, innych do miejscowych baraków, pozostałym dawano kilkudniowe odpoczynki.

Ja z kolegą Szurygiem i Szteinkellerem znalazłem się w barakach w Bouzy. Długie drewniane budynki były przepełnione głównie żuawami i strzelcami algerskimi.

Pobył w podobnych barakach był prawdziwym odpoczynkiem, o leczeniu nikt tam nie myślał. Codziennie zrana przechodził doktor wojskowy. Ustawieni przed narami żołnierze stali jak na rewii generała.

Od czasu do czasu doktor się zatrzymywał, pytając:

— No cóż—lepiej?

Przeważnie odpowiadano, że : „lepiej“. Gdy jednak ktoś się odpowiednio skrzywił jak gdyby chciał powiedzieć, że „przeciwnie daleko gorzej“ doktor brał gruby ręcznik przykładł do żołnierskiego munduru i słuchał.

Żadne zwierzę, ani człowiek dotąd przezemnie spotykany nie miał tak rozwiniętego słuchu, jak wojskowy esku-lap z Bouzy.

On posłuchawszy niedbale przez cały materac złożony z ręcznika, munduru, wełnianej koszulki i flanelowej koszuli rzucał idącemu w ślad milczącemu infirmierowi środki lecznicze mające radykalnie pomódz delegliwościom. Środkami leczniczymi były: mleko, jodyna (ta głównie), bańki. Po wyjściu doktora zlewano delikwentów jodyną od stóp do głowy.

Rzadko dawano szklankę mleka — najciężiej zabraniano pić wina — porcje przeznaczone dla żołnierzy przechodziły wówczas, raczej przelewały się do gardła sierżanta.

Między kolegami memi z baraków były nadzwyczajne typy marokańczyków *) między innymi niejaki Hamed ben Mohamed**) smukły i smagły żołnierz, jedyny pozostały z całej kompanii podczas bitwy nad Marną. Do baraków został odesłany ponieważ niewiedziano co z nim robić, jako z jedynym przedstawicielem bohaterskiej nieistniejącej już kompanii marokańskiej. Złą francuszczyzną opowiadał nam wieczorem swoje perypetje wojenne.

W Bouzy byliśmy trzy tygodnie, skąd nieco wypoczętych odstawiono wielkim automobilem do Verzonay. W znanym miasteczku zatrzymaliśmy się na noc. Jakaś poczciwa staruszka odstępiała nam pokój na górze, zgotowała obiad,

*) „Omyłka“. Zbiór nowel i szkiców z zachodniego frontu (w druku) tegoż autora.

**) № 225. 45. Hamed ben Mohamed, — „Omyłka“ Zbiór nowel.

śniadanie, na drogę obdarzając trzema butelkami wina. Z Verzonay pieszo doszliśmy do fermy Esperance, gdzie powiadomiono nas o miejscu pobytu kompanii naszej. Koledzy nasi stali w nowowykopanych okopach wysuniętych naprzód od dziurawej Markizy. (Plan okopów).

Świeże okopy nasze znajdowały się o sto pięćdziesiąt metrów od okopów niemieckich. Zaraz po powrocie do kompanii zaprzęgnięto nas do pracy, jako zupełnie wypoczętych. Umacnianie nowych linii odbywało się pośpiesznie gorączkowo—spodziewano się ataków niemieckich. Pobyt nasz w okopach był podzielony na dwa okresy tygodniowe. Pierwszy tydzień zostawaliśmy (pierwsze dwie sekcje) w linii A — następny przechodziliśmy do linii B. Linja B idąca wzdłuż sosnowego lasu była codziennie bombardowana, pobyt więc w okopach linii B był bardziej niebezpiecznym. Cudem wprost podczas kilkatygodniowej naszej tam bytności nie było ani jednego rannego.

Powtórę — cudem ponieważ od bombardowania zniszczono nam wielką ilość karabinów, zawałono kilka ziemianek, potrzaskano naczynia kuchenne. Bardziej ukryci od nas Czesi i Grecy mieli kilkunastu zabitych i rannych. Często też mówiono w innych kompanjach, że nad Polakami ktoś czuwa. Na cmentarzu przed Markizą najmniej było grobów Polaków.

Powoli mijał styczeń rzucając na ziemię jakby resztkę zimowych zapasów deszczu, śniegu i mgieł. Naokoło dawało się odczuć jeśli nie przecucie, to jakieś niecierpliwe oczekiwanie wiosny. Odpoczynki nasze w Verzonay stawały się bardziej przez nas pożądanymi.

Wszystkie ciężkie jeszcze do niedawna rewje były dla nas teraz drobnostką. Wyczyszczenie najbardziej zardzewiałego karabinu nie zajmowało nam więcej czasu nad godzinę.

Nauczyliśmy się różnych żołnierskich krętać. Często pokazywano kapitanowi jako swój — przyniesiony z innej sekcji wyczyszczony karabin, brudny, własny skrętnie gdzieś chowano.

Coraz bardziej starzy żołnierze mieliśmy, coraz lepsze wypróbowane kawały dla zamydlenia oczu naszym zwierzchnikom. Prześcigano się w pomysłach i wynalazkach.

Nawet od ciężkich ćwiczeń wykęciano się zęcnie. Wykręt był dobry wtedy kiedy nie „złapało“ się t. zw. „consigne„ *).

Na wzór innych żołnierzy, przeważnie żuawów, którzy ze strzelcami algierskimi i naszym pułkiem tworzyli dywizję marokańską zaraz po wybiciu piątej godziny uciekaliśmy do miasteczka. Wielu z nas otrzymywało z kraju pieniądze, za nie w jednej z nielicznych mieszkańek miasteczka urządzano obiady, zawsze z nadmierną ilością wódki i wina. Codziennie podczas tygodniowego odpoczynku troszeczkę chwiejnie śpieszono na apel do koszar.

O godzinie dziewiątej, podczas sprawdzania obecnych panowała we wszystkich sekcjach bezwzględna cisza. Zaraz jednak po wyjściu dyżurnego sierżanta wszczynął się nieopisany gwar trwający do godziny dziesiątej, t. j. do godziny obowiązkowej, ogólnej ciszy i snu.

Mimo żeśmy dotąd nie dali żadnych krzyczących dowodów naszej odwagi—mieliśmy wszyscy opinię bohaterów. Pamiętam słowa żuawów: „Strzelcy są dobrzy, żuawi też niczego—wszyscy jednak razem nie warci legjonistów!“

Kiedy przechodziliśmy, śpiewając „Rotę“ Konopnickiej, lub inną żywą pieśń naszą—zasypywano nas oklaskami.

*) „Consigne“ znane w armii powiedzenie „Deux jours de consigne“. Nie wolno wychodzić z koszar podczas dwóch dni.

Wielu z naszych zwierzchników nauczyło się całych wierszy polskich ze śpiewanych przez nas pieśni. Wszyscy znali na pamięć ich melodie.

W połowie lutego miasto do okopów za Markizą po przejściu miasteczka Prunay skręciliśmy na zachód w stronę Lasku Żuawów. Długie kręte okopy przezwane „Labiryntem” ciągnęły się bez końca. Jak zawsze, tak i teraz nie wiedzieliśmy dokąd idziemy. Ciemny Lasek Żuawów coraz wyraźniej, coraz bliżej ukazywał czarne, milczące sylwety drzew.

Przechodząc koło linii obronnej wiedzieliśmy, że gdzieś nieopodal znajdują się ziemianki, przysze nasze mieszkania. Nie myliliśmy się.

W wgłębieniu wąskiego chodnika dojrzałyśmy wejścia do lochów, w których rozmieszczono nas esconade'ami.

W nowych naszych okopach czuliśmy się dobrze. Powoli schodząca wiosna z dobrem łaskawem ciepłem tuliła nas zmęczonych serdecznie, troskliwie.

Mimo pracę codzienną ponocną, nie czuliśmy się tak wyczerpanymi jak miesiąc temu.

Niemcy bombardowali nas rzadko — jednego tylko ranka zwalili dach jednej z naszych ziemianek raniąc kolegów Swirskiego i Wyrozębskiego. Pierwszy niedawno powrócił ze szpitala — ranny powtórnie po opatunku z własnej woli pozostał w kompanii.

Kapitan przedstawił go do medalu wojskowego.

Podczas kilkutygodniowego pobytu naszego w nowych okopach nie stało się nic ważnego dla kompanii naszej.

Widokiem posiadającym nadzwyczajny urok był nocny atak Niemców na okopy Żuawów.

Po kilkugodzinnym bez przerwy bombardowaniu linią dzielnych Żuawów, rzuciły się wojska niemieckie do ataku.

Zaterkotały mitraljezy, powtarzały się jedna za drugą karabinowe salwy.

Prawie, że pod same nasypy francuskich okopów doszli atakujący. Zatrzymywani przez gęstą sieć drutów kolczastych padali koszeni gęstym ogniem kulomiotów. Po północy z sykiem wzbija się w górę rakietą, rozsypała w powietrzu deszcz świateł, jak pęk czerwonych kwiatów. Znak zwycięstwa. Z niewidzialnych miejsc, z za ciemnych gór szły niby piekła wystąńce syczące pociski niosące śmierć, grozę, strach. Padały z trzaskiem, hukami między czarne zamarte w bezruchu drzewa, których coraz mniej żyło na tle ołowianego nieba.

I była w tem strasznym niszczącym bombardowaniu, jakaś nieubłagana zemsta, jakieś powolne spoglądanie na konającego napastnika.

Wstrząsając zda się od wnętrza ziemię, pękały ciężkie powietrzne torpedy.

Ukryci w okopach spoglądaliśmy poprzez nasyp na te straszne i zarazem piękne widowisko.

Całą noc trwała kanonada. Z radością mówiono u nas: „Co! Dziś to bardzo bombardują!”

Razem z poczynającym się rankiem—cichło, sino-czarne kłęby dymu kryjącego ziemię szedły.

Na szarem poszarpanem polu gęsto leżały trupy Niemców. Z konających ludzkich piersi niesłyszany, niesłuchany ulatywał ostatni jęk.

Kilka ocalałych sosen poopuszczało długie gałęzie niby bezsilne, rozpaczne ręce.

Z nabitymi karabinami, zamyśleni powracaliśmy do ziemianek.

W pustych naszych mieszkaniach gospodarowały szczury, cicho szeleszcząc w wilgotnej słomie *).

Wiosna coraz cieplejsza, radośniejsza snuła się złotymi promieniami, po nasypach rzucała tu i owdzie cienką zie-

* „Omyłka” „Dwie godziny w okopach—nowela. (w druku).

loną nić trawy, barwiła wierzchołki drzew młodą niepewną zielenią.

Myśl co raz bardziej odrywała się od znanych zajęć — tęskna, tkliwa ulatywała aż poza ostatnie echo strzałów, szukała cichego miękiego ustronia, łagodnej matczynej pieśczoły.

Wszystkie zajęcia nasze poczęliśmy wykonywać masywno licząc się z wyznaczonym czasem. Bardziej niż w zimie poczęto się zamyślać, -do myśli chętnie dopuszczano smutek, złe przecucia. Coś się w nas poczynąło razem z poczynającymi się zmianami w naturze.

Drażniono siebie wzajemnie nowinami przypuszczeniami długiego odpoczynku w Paryżu.

Wielkanoc przeszła, jakby niepostrzeżona w pierwszej linii okopów — zresztą obawiano się uprzytomnienia sobie dnia silniej wiążącego się z przeszłością, omijano starannie wszystkie wspomnienia.

Pogłoski o ofensywie francuskiej zdawały się potwierdzać. W rzadko dochodzących do nas komunikatach oficjalnych czytaliśmy o drobnych powodzeniach wojsk Joffra.

Zdawało się nam rzeczą wprost niemożliwą byśmy nadal zostali w okopach Prunay lub Markizy, tak jak dawniej, umacniając i strzegąc naszych pozycji.

Staruszka—tate naszego kapitana Lobns'a mianowano komendantem i przeniesiono do innego pułku.

Ze łzami w oczach żegnał nas kapitan, jak my zapomnieli dawną krótką niezgodę.

Do swojego zastępcy dzielnego i młodego kapitana Osmonde'a mówił że oddaje mu kompanję wzorową, jak się wyraził: „Compagnie d'elite“.

Były porucznik zuawów terazniejszy dowódca kompanii naszej był typem odważnego żołnierza. Stanowczy, grzeczny zyskał naszą sympatję już w pierwszych dniach swego kierownictwa.

Osmonde zjednał nas sobie bardziej jeszcze serdecznem zbliżeniem się do Malcza, który od kilku tygodni mianowany został porucznikiem — dowódcą drugiej sekcji polskiej.



Podczas odpoczynku w Verzonay powiedział nam, że wierzy w nas niezachwianie, że zajmując dotąd przednie miejsce, pójdziemy za nim — kapitanem i kolegą naszym do ataku pierwsi, jako przykład męstwa i woli zwycięstwa.

Osmonde podczas odpoczynków nie męczył nas próżnemi rewjami, wszystkie brakujące nam rzeczy kazał wydawać z magazynu bez pytań o los starych, już zgubionych lub zniszczonych.

Całe dnie mieliśmy wolne. W okopach pracowaliśmy bez narzekań ze zdwojoną energją pewni, że czeka nas wkrótce odpoczynek, nie kłócony jakąś zbyteczną w rodzaju wrywania buraków pracą.

Nieświadomie przygotowywaliśmy się do jakiegoś wielkiego wspólnego czynu.

Myśl jednak o kilkатыgodniowym odpoczynku w Paryżu nie przestawała nas drażnić, mimo brak potwierdzeń ze strony władzy naszej nie chcieliśmy się rozstać. Z naszym, niewiadomo skąd poczętem przypuszczeniem.

W połowie kwietnia byliśmy ostatni raz w Verzonay.

Poważne przygotowania wyraźnie mówiły o czekającej nas zmianie. Ciągłe jednak pozbawieni cienia pewności wahaliśmy się w czekaniu między odpoczynkiem, a udziałem w ofensywie.

Chcieliśmy i jednego i drugiego, i jedno i drugie było nam potrzebne. Co pierwej nastąpi? myśleliśmy aż do dnia kiedy na podwórko domu gdzie znajdował się posterunek pomocy lekarskiej pojawiły się nowe karetki znaczone czerwonym krzyżem, dziesiątki nosz z podobnym znakiem i inicjałami IRt. Etr. Bat. C. Acha! Więc to dla nas! Wyobrażnia ze stopniowo zgęszczających się w formy ludzkie mgieł tkala obrazy, fragmenty ataku.

Uleciały przypuszczenia, domysły. Paryż w jednej chwili, jak w świetle dogorywającej świecy zajaśniał ze wszystkim znanem i znikł, rozwiął się w mroku niemożliwości.

Z Verzonay wrócono do okopów za Markizą, skąd po dziesięciu dniach wymaszerowała kompanja nasza w kierunku stacji kolejowej.

Na szerokie platformy wladowano mitraljezy pułku, karetki z czerwonym znakiem, wozy z żywnością.

Długi pociąg ruszył. Postukując toczyły się wagony między jasną zielenią pól oblanych słońcem, jak roztopionem szczerem złotem.

Perły rannej rosy lśnieniem djamentów raziły źrenice.

Dokąd jechała polska garstka—nie wiedział nikt.

Mieliśmy według słów Malcza połączyć się z resztą Polaków służących w armii francuskiej. Spora grupa Polaków znajdowała się w drugim pułku cudzoziemskim, grupa utworzona z wolontariuszów, którzy wkrótce po Bayończykach wstąpili do wojska.

I rzeczywiście podczas drogi spotkaliśmy pociąg z wolontariuszami, jadącymi w jednym z nami kierunku.

Przejechaliśmy Calais, minęli obóz Anglików.

Wreszcie w starych szopach zdaje się pustych stajniach rozmieszczono nasz bataljon.

W długich pustych budach na krańcu starego miasteczka francuskiego odpoczywała kompanja nasza aż do ósmego maja — kiedy to zwrócił się do Polaków kapitan Osmonde mówiąc, że: „Będziecie mieli honor pierwszymi iść do ataku i sposobność wykazania waszej odwagi potwierdzenia tradycji o dzielności Polaków“. Dowódca kompanii powtarzając słowa Joffra zakazywał nam zajmowanie się rannymi kolegami, nakazując bezwzględne posłuszeństwo wszystkim zwierzchnikom. Do odwagi nas nie zachęcał — wiedząc aż nadto, że my zachęty nie potrzebujemy. Żaden z nas dotąd, w żadnym wypadku nie zawahał się pójść choćby na pewną śmierć, nie pokazał cienia lęku.

Pewność jutrzejszego wystąpienia zwałała z piersi gniołący je oddawna ciężar.

Więc jutro! powtarzano. Jutro stanie się naprzeciw niemieckiego bagnetu z nienawiścią, możliwością pomszczenia krwawych odletnich krzywd, z wiarą w Zmartwychwstanie Polski.

Jutro!

W „jutrze“ — jednym „jutrze“ zamyka się, pograża cała przeszłość, nadzieja, czyn...

A dziś, dziś śmiano się, zamyślając naprzemian.

Dziś kreślono ostatnie słowa pożegnań.

Dziś czytano zabrudzone, przesiąknięte potem noszone gdzieś na piersiach, na sercu łzami skropione, zdaleka przysłane, drogie pisanie.

Dziś, to nurzanie się, jak w piasku przed domem rodziców, tam w Polsce, we wspomnieniach w całym mionem.

Dziś, dziś!... Dziś ostatni dzień życia.

Myśli, słabe, słabiutkie nadzieje jak ostrze brzytwy przecina zbliżające się zwolna, pewnie—jutro.

Zamiany listów.

— Jeśli mnie „tego“ — to ty wiesz... tam jest adres...
Poszlesz—co?

— Dobrze! A ty mój wyszlesz.

Przyrzeczenia, ciche, serdeczne rąk uściski pocałunki—
dziś!

Ostatni dzień, więc za ostatnie pieniądze białego.

Strzelają, wyskakują wielkie korki, głośniejsze niż słychać dalekie strzały karabinów.

Więc jeszcze dziś pijmy.

My może dziś już tylko — Polska zawsze.

Polska zawsze!

W poczynającą się noc, dziwną noc majową wpadają rzucane mocno, zgodnie razem słowa, że: Jeszcze Polska nie zginęła!

Płynie pieśń, napełnia powietrze, mrok, żyje wokoło nas we wszystkim co nas otacza.

Mija noc.

Prawie nikt nie śpi. Po co? Może jutro!?!...

Przygotowania do drogi.



<http://rcip.org.pl>
Bez mydła.

Każdy ma bombę ręczną, haczyk do przecinania nie puszczającego naprzód drutu, dwieście pięćdziesiąt nabojów, nóż ostry, krótki do walki w wąskim okopie.

W płótno namiotu zawinięta zapasowa żywność, przewieszona przez plecy. Dwie torby na bokach. Tornistry zostawiamy w pustych szopach.

O godz. trzeciej po północy zdecydowania, odważna idzie kompanja nasza do okopów.

Ciemna tkanina nocy zda się chwytać niewidzialnemi rękoma ziemi, drzew, krzaków silniej, jakby bojąc się, zdała, z za gór nadchodzącego dnia.

Zmęczone drogą skronic, policzki owiewa ranny mięki, rzeźwiący chłód.

W takt kroków wpada wesoly przyciszony szept rozmów.

Równą szeroką linią idą czwórki jedna za drugą pewne zwycięstwa, pełne wiary.

Szarzeje. Zza horyzontu wyłania się słaby wstydlivy rumieniec nieba.

Jeden po drugim ściąga ktoś i unosi przecienkie ciemne płaszcze nocy.

Wchodzimy w wąskie przejście okopów.

Z maleńkich, ziemią napełnionych woreczków ułożona ściana wznosi się ponad nasze głowy.

Świta już.

Na twarzach, w ruchach widać pośpiech, gotowość.

„Mamy czas — uspakaja Malcz za chwilę dopiero zacznie się praca artylerji. Na przestrzeni kilku kilometrów stoi przeszło sto trzydzieści baterji“.

O godzinie piątej, jak złe naprzód wybiegłe psy owczarskie szczeknęły polowe 75 mm. armaty. Za niemi gdyby budzący się potężny zwierz zaryczały daleko stojące ciężkie baterje. W kilka sekund z hukiem rwącym ziemię jakby od wnętrza — pękały pociski w linii niemiec-

kich okopów. Razem z dymem wznosiły się w górę kawałki desek, grudy ziemi, kawały ludzkiego ciała. Zdawało się, że już po tym pierwszym szeregu strzałów z okopów naprzeciw nas nie zostanie nic. Pierwszy wark armat był jednak tylko pobudką po której zaczęła się istna orgja niewidzialnych duchów skaczących, tańczących jakiś obłąkany taniec śmierci i zniszczenia.

Nad głowami naszymi z przeraźliwym świstem, wyciem, skowycem gnały pociski.

Zdawało się, jakby cała ziemia za nami pluła złością, nienawiścią wyła z dzikiej radości, urągała ziemi obcej, której granicą byliśmy, my ustawieni między ścianami rozwartej ziemi.

Minęła godzina, ryk nie ściszał, z większą zażartością żygały armaty, rwały powietrze, kłęły.

Do dziesiątej grzmot szedł nieprzerwanie ciągle wstrząsając ziemię szerokim dreszczem.

Gęstą kłęby dymu leniwie przewalały się po ziemi tak, jak stada owiec o grzbietach mieniających się barwami tęczy w ciepłych promieniach majowego słońca.

Nagle, gdyby od przesilnego uderzenia w tył głowy scichło...

Rozległy się dźwięki trąbki grającej pobudkę: „A la bajonnette!”

I powtarzane, rwącemi zbudzonemi do czynu pierśmi: „En avant, en avant! A la bajonnette!” *) Z wystającego poste d'econte pochyleni wychodzili jeden za drugim wolonciarjusze na powierzchnie okopconej zczerniałej od dymu ziemi.

„Vers a gauchel... ktoś rozkazał.

*) „A la bajonnette”—Na bagnety! Bajonette od nazwy miasta Bayonne, gdzie zaczęto popierwszy raz wyrabiać bagnety.

Rozsypano się w długi łańcuch.

Nie słysząc strzałów, bulgotania mitraljezy, huku pękających granatów rwano jak wichura naprzód.

Gdzieś z tyłu grają trąbki wszystkie sygnały, Marsyljanke, zefrain Legii.

„En avant!”

Ściskając karabin biegnie Tadeusz Golcz śpiewając-krzycząc: „Bo kto Polak na bagnety!” A za nim cała sekcja podchwytuje: „Żyj swobodo, Polsko żyj!”

„Vive la Pologne” krzyczy kapitan Osmonde.

Pułkownik klaszcze w dłonie, cieszy się i powtarza po przez radość: „Tak, tak trzeba iść, jak oni idą — brawo, brawo Polacy. Niech żyje Francja, niech żyje Polska.

Rozsypani w tyraljerkę wolontarjusze przypadają do ziemi, na małą krótką chwilę — zrywają się i zgodnie naprzód.

Po porwanych drutach, dołach, wywróconych kołach wpadają w pierwszą linię okopów niemieckich.

Tu i owdzie resztki ludzkiego ciała, złamany karabin, szynel porwany...

Błoto krwi ludzkiej.

Jakby mgła nad życiem drgającej myśli.

„Naprzód — en avant!” słychać na zmianę polsk francuskie słowo—rozkaz, chęć—słowo.

„Naprzód!”

Przebiegają długie rzędy, przeskakują przez jamy wyrwane pociskiem.

A za nimi zatrzepotał się szmat ziemi, jęknął, w górę się wzbił, dymem skryty opada jak grad, szczęśliwy, bo spóźniony wybuch miny.

Chwila dziwna, niezrozumiała. Z tyłu jakieś niewiadomo skąd nadbiegłe pociski wyrrywają nam kolegów. Omyłka, straszna omyłka obserwatora artylerji! Nie przy-

puszczając, że możemy tak gwałtownie, tak prędko posu-
nąć się naprzód, artylerja francuska wzięła nas za ucieka-
jących Niemców i zaczęła nas ostrzeliwać.

Gdy sprostowano omyłkę kilku kolegów konało od po-
cisków artylerji francuskiej.

Zbliża się kompanja do drugiej linii okopów.

Pozostali, przerażeni, zdziwieni błyskawicą naporu
Niemcy uciekają.

Strzelamy do uciekających.

Z pieśnią, z krzykiem duszy, serca, życia: „Niech
żyje Polska!“ mijamy poszczerbioną linię okopów.

Coraz więcej zapału, istnienia w chwili terazniejszej,
poza wszelką myślą ostrożną i coraz więcej wstrzymanych,
zruczonych martwych na ziemię, coraz częstszy jęk.

En avant! Ryczą piersi i rwą naprzód.

Przeskakujemy trzecią linię okopów.

Biegnie kolega Kowalczyk, trochę wyprzedził całą
sekcję, przeskakuje nasyp — znika...

Kilku ocalałych ukrytych w okopie Niemców chwytą
za szynel Kowalczyka, obsuwającego się w okop wolonta-
rjusza kłują bagnetami, wydzierają z rąk jego granat, wy-
darty rzucają w naszą pierwszą sekcję.

Mija chwila, tysięczna część sekundy, a po niej
w wąskim przejściu mszczą Polacy zabitego kolegę, zęba-
mi zda się chcą szarpać niemieckie szynele, ciało, krew
pić.

Ktoś krzyczy rozkaz: „Naprzód, naprzód! z nimi się
załatwią“.

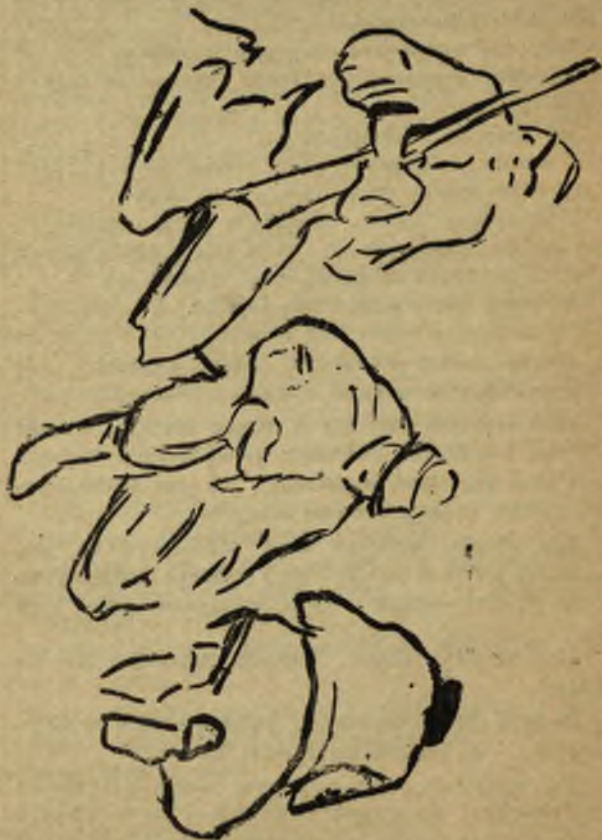
Za nami idą marokańczycy, pędzą z nożami by oczy-
ścić pole — oni się załatwią z „alles Boches!“

We wgłębieniu obok rozwalonej ziemianki telefonuje
oficer niemiecki. Na nasypie widać kolegę Jaceko. Chwycił
za lufę karabin, śmignął z góry kolbą — po ścianie osuwa

się ciało oficera niemieckiego, z boku czaszki jakby wygniatana wydobywa się żółto—krwawa masa.

— Mundek zabity — krzyczy ktoś biegnąc.

Edmund Wiweger przemily kolega—zabity.



Coś wstrzymuję na chwilę. Chcę się tylko krwi, pragnie się tylko zemsty. Mitraljezy niemieckie rozwijają całą sieć ognia. Przypadamy do ziemi. Escnade'ami przebiegamy niewielkie przestrzenie.

Blady, nieruchomy leży Stanisław Szejnkeller.

Nad głowami pękają szrapnele. Wacek Liszkowski jeden z wesołej czwórki, Wacek na wszystko gwizdzący teraz sam, bo mu zabili i Janka Dobrowolskiego i kuplecistę kompanii Liszewskiego i tajemniczego zaciętego Trzebiatowskiego, kryje głowę, nakrywa się martwym Szejnkellerem.

Malcz ranny, kulejąc biegnie naprzód—pada ugodzony w piersi. Do rannego naszego porucznika podbiega Zawieja, klęka, sięga po bandaż, nie zdążył wyjąć, kładzie się wolno obok Malcza — kona.

Ranny, napół przytomny kapitan Osmonde powtarza: „En avant, en avant—toujours!”

Rwie garstka coraz mniejsza, coraz zapamiętała, nie widzi, że jest sama prawie, że po za nią tylko zorana pociskami ziemia, zasłana trupami, krwawa.

Niemcy uciekają. Niektórzy dopędzeni podnoszą ręce, klękają, wyciągają fotografie żon, dzieci, niemi błagają li-tości.

Jedna z escouade wpada w kępę zarośli, prawie z rąk Niemców wydzierając mitraljezę, bierze do niewoli wystraszo-nych żołnierzy.

Pojedyńczo, rozsypani tu i owdzie okopują się wolon-tarjusze-są sami.

Nie słyhać żadnej komendy, żadnego rozkazu.

Na zajętej przestrzeni, leży rozrzucona garstka Polaków i Czechów.

Nie widać ani jednego oficera, sierżanta, nikogo ze zwierzchników.

Kapral Kijewski z resztą swojej escouade'y zrywa się jeszcze raz, chce iść naprzód—przypada do ziemi.

Zza niewielkiej góry rozsypani w tyraljerkę idą Niemcy, chcą okrążyć resztki bohaterów.

Okopani, zasłonięci woreczkami napelnionymi ziemią czekają wolontariusze czegoś, coby silniejszym było ponad to wszystko co przeżyli, czekają już chyba śmierci tylko.

Spokojne, niczem nie straszące się oczy, spoglądają wokół siebie.

Grupa kolegów gramoli się na stóg siana, ciągnąc za sobą mitraljezę.

Co parę sekund stoczy się z góry ze stogu martwy kolega, spada jak ciężki owoc z jękiem na czarną strataną ziemię.

Nowy się drapie, chwytą się zeschniętej trawy wyciągniętych rąk...

Ze szczytu stogu zaczyna grać mitraljeza, bulgoce.

Przed głowami leżących Niemców podnosi równą wstęgę kurzu, a po chwili, widać jak z łańcuha ludzkiego wyrzuca po kilka ogniów.

Z tyłu nadeszła zmiana.

Rassemblement niedobitków.

Dziwna chwila. Pamięć dopiero co mlnionych godzin. Grupy jeńców.

Resztę nerwowego gorączkowego dreszczu wzdłuż ciała.

Jakieś zamyślenie, beczucie, chęć odpoczynku i lęk, lęk powrotu do życia, znanego normalnego życia.

Noc na pobojuwisku.

Rozciągnięty, zda się nie pogrzebny granatowy brylantami zdobny płaszcz nad szmatem potarganej ziemi.

Cisza.

Pochylone, czarne idą sylwety ludzkie.

Nadśłuchuję. Od czasu do czasu blask elektrycznej lampki.

— Trup!

— Oddycha.

— Ale gdzież tam.

— Morawski ?

— Tak!

— Franken ?

— Patrz Chocimski—piersi mu rozwalili.

— Tam się ktoś rusza.

Cichy, ponury dialog czarnych sylwet brankardjerów.

— Tu jeszcze jeden ranny! woła jakiś głos.



Stanisław Batkiewicz.

Brankardjerzy idą w stronę skąd doleciał słaby, bezsilny dziwnie pokorny głos.

— Batkiewicz—Przyrodnik. Co tobie ?

— Kolanko nadwyręzione—ze spokojem, ciągnąc z litewska, odpowiada jakby ze snu zbudzony Batkiewicz.

Ostrożnie składając brankardjerzy na nosze cichego Przyrodnika, któremu pocisk oderwał nogę wyżej kolana Kolanko nadwyręzone! Kolanko polskiego żołnierza!

Jeńcy—Niemcy odnoszą rannych Polaków na najbliższy posterunek pomocy lekarskiej.

W wyrwanych pociskami dołach grzebią umarłych.
Czyjeś usta szepczą: „Zdrowaś Marjo...”

Trzydziestu kilku Polaków odwiezionych wielkimi samochodami na odpoczynek—leży w drewnianej szopie.

Rozmawiają, jakby wspominali stare dawno minione dzieje...

— Widzieliście Wejnberga ?

— Ja jeszcze go widziałem, kiedy błądy jakby obłąkany siedział na trupach w dziurze od obusa.*)

— Nie wiem, który to dał takie salto-mortale z mostu?

— Malcz zabity?

— Pewno,— trzy kule! W nogę, w piersi, w czoło.

— POCO Kamiński poszedł, on mógł zostać z pułkownikiem.

— No to co, jakby został—pułkownik też zabity.

— I Noiré (komendant).

— I Guitare.

— Ale Franken—ten się nigdy nie bał — a przed atakiem, taki był błądy.

— Przeczucie. Mówił, że ma w kieszeni siedmset franków, żeby je wziąć jeśli go zabiją.

— Dwie kule dostał...

Przed długi barak zajeżdża generał Blondela.

— Gdzież są ci odważni Polacy—wywołać—rozkazuje.

Leniwie, powoli wychodzi reszta żywych wolontariuszów.

Garstka czterdziestu ustawia się w dwurząd czeka. Najedzona wyobraźnia nie kłóci zupełnego spokoju, który

*) Obus—pocisk.

teraz wszechwładnie panuje, jest koniecznym dla możliwego odpoczynku.

Wymyśli, wystrojeni odświętnie przed atakiem ochotnicy polacy—dziś prawie wszyscy mają porwane szynele, niektórzy bez czapek.

Kilkanaście zeszłych godzin...

— No gdzież są Polacy—pyta zniecierpliwiony generał.

— Jesteśmy generale—odpowiada kapral.

— Jakto, wszyscy? jakby niewierząc rzuca pytanie.

— Wszyscy generale!

— Tak, tak... to dobrze... tak... coś się płacze staremu generałowi powtarza cicho: wszyscy.



Kazimierz Wejnberg.

Wszyscy będziecie nagrodzeni. Dzielni jesteście, nadspodziewanie dzielni. Wszystkim dać stopnie wojskowe, zwraca się do adjutanta.

— Niezadługo pójdziecie do nowego ataku — rzucił generał i odjechał na pole, gdzie wyszykowana stała reszta dywizji.

Piszczalki marokańczyków, trąbki grały marsze wojskowe.

Rewja i rozdawanie odznaczeń wojennych.

Z Polaków, jako dawniej proponowany jeszcze przez

kapitana Lobus'a otrzymał medal wojskowy i krzyż wojenny z palmą i podpisem Joffra Aleksander Świrski.

Nie mieliśmy ani jednego oficera, nie miał nas kto proponować do nagrody.

Adjutant generała zapomniał o Polakach.

Cóż! tak mało zostało tych „nadspodziewanie dzielnych“!

16 czerwca nocą podczas ataku Niemców ginęła reszta Polaków—między innymi Jan Rotwand mianowany podporucznikiem, kilku zginęło od gazów trujących.

Jedynie Polacy obronili swój secteur, ba nawet wyszli z okopów i gnali Niemców.

W ciemnej nocy przez odwagę kilkunastu Polaków zdawali się Niemcy całym pułkiem.

W lipcu 1915 roku francuskie ministerjum wojny w porozumieniu z ministrem wojennym rosyjskim, pozwoliło wracać wolontariuszom do Rosji.

Jednocześnie wyszło rozporządzenie, że Polacy, Czesi poddani austriacy, lub niemieccy, ci nawet którym tydzień jeszcze temu wyjęto kule niemieckie mają być odesłani do Marokko—jako zwykli jeńcy.

Maleńka Serbia istotna podobno przyczyna obecnej wojny. W Serbów przecież obronie ...

A Polska!?

Frape, frape, frape moi

Pour cela ne mourray!

W początkach sierpnia do dépôt pierwszego pułku cudzoziemskiego w Lyonie przyjechało z frontu szesnastu Polaków.

Ze szpitali całej Francji zjeżdżali się co parę dni do Lyonu. Bładzi, starsi o kilka, kilkanaście lat wolontariusze—Polacy.

22 sierpnia na pokładzie angielskiego towarowo-wojennego statku z Brestu odbijali: Biernacki, Kijewski, Kozierowski, Filipowicz, Świrski, Piotrowski, Komorowski, Gałązka, Joel, Ślusarski, Zbikowski, Buczyński, Błaszczński, Hnizdil.

Po dwudziestu i dwóch dniach podróży, na statku naładowanym po brzegi pociskami, przeznając się przez burzę Oceanu Atlantyckiego, jadąc podczas ciągłego dnia na Oceanie Lodowatym, błakając się we mgłach Białego morza dobiliśmy do Archangielska.

Pierwszego dnia dowiedzieliśmy się że Warszawa, Królestwo całe jest w rękach niemieckich.

Dla znużonego ciała, poszarpanego tęsknotą serca nie było przystani.

Oczy zawlekły się jakąś wszystko słońącą mgłą.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

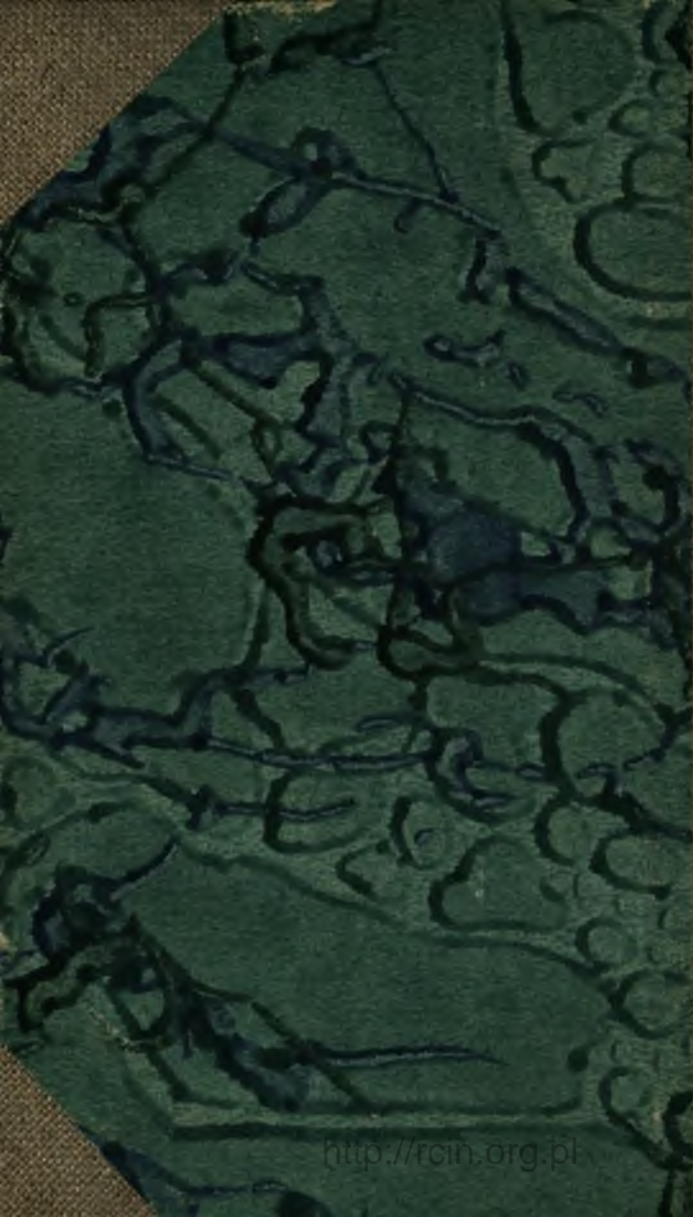
Tel. 26-68-63

J. Żyznowski

Zbiór nowel p. t. «Omyłka» w druku.

fk.

<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>